

Redaktor naczelny TADEUSZ SWIĘCICKI

Prenumerata w Polsce: miesięczna 2 zł. 75 gr. kwartalna . 7 „ 50 „ półroczna . 15 „ — „ roczna . . 28 „ — „ Numer pojedyńczy 75 gr.

W Ameryce: półroczna . 6 dolarów roczna . . . 12 „

Naczelny redaktor przyjmuje codziennie od g. 10—12 przedpoł. Rękopisy i fotografje redakcja zwraca tylko na żądanie.

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 140.260
Konto P. K. O. Kraków Nr. 400.519
Konto w Banku Związku Sp. Zarob. Oddział Kraków

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Rok XXI. Kraków, 12 lipca 1924. Nr. 28.

Nowa katastrofa lotnicza.



Dnia 3-go lipca znów dwuch śmiałych lotników polskich por Latawiec i por. Laszecki zginęło śmiercią tragiczną na lotnisku pod Krakowem. Zdjęcie wykonane na miejscu wypadku przez jednego z oficerów 2 p. lotn. Przy szczątkach aparatu spoczywają przykryte zwłoki poległych.



Akademja polsko-turecka: Minister pełnomocny turecki Dr. Ibrahim Taliy.

Ministrowie na „cenzurowanym".

Warszawa, w lipcu

„Jakto! Rząd Grabskiego trwa już pół roku i nie upada?" — zdumiewają się ludziska, których sześcioletnia tradycja naszego niepodległego bytu państwowego przyzwyczaiła do zmian gabinetów przynajmniej raz na sześć miesięcy... A jednak tak jest. Premier Grabski, który uzdrowił nasz skarb, jest może — kto wie — na drodze do uzdrowienia naszego życia politycznego, zatruwanego dotąd przez nieustanne kryzysy ministerjalne.

Ale jak wyleczenie polskich finansów natrafiało na niemałe przeszkody, tak i ta druga „sanacja" nie idzie gładko. Rząd w osobach swoich ministrów narażony jest jeszcze nieraz na ataki zajadłości partyjnej, która mimo politycznego „treuga Dei" nie ma bynajmniej ochoty skapitulować. Terenem jej działalności jest z natury rzeczy Sejm a sposobnością bojową — debaty nad budżetem poszczególnych ministerstw.

Na pierwszy ogień poszedł, jak przystało, p. prezes rady ministrów i minister skarbu, wysuwający nietylko kwestję budżetu, ale i cięższy dla Sejmu orzech do zgryzienia: dalsze pełnomocnictwa. Dla dobra sprawy musiał się p. Grabski poddać arcybolesnej operacji: ni mniej ni więcej, tylko rozpołowieniu swej osoby przez stronnictwa. Prawica bowiem odniosła się doń z uznaniem, jako do premiera, natomiast z krytycyzmem — bynajmniej zresztą nie wrogim — do jego działalności, jako ministra skarbu, w związku z przesileniem gospodarczem. Przeciwnie lewica zaatakowała premiera, zostawiając w spokoju ministra skarbu. Dyskusja jednak nie pozostawiła po sobie wrażenia pessymistycznego i panuje ogólne przekonanie, że w głosowaniu otrzyma p. premier większość głosów Izby.

Dobrym horoskopem dla przyszłości obecnego rządu jest niezwykle silna pozycja ministra spraw wojskowych. Generał Sikorski należy przecież do mężów stanu, których dotychczas stronnictwa prawicowe jaknajostrzej zwalczały. A jednak po znakomitej mowie ministra głosowały one solidarnie wraz z lewicą za przyjęciem budżetu M. S. Wojsk. — przeciwko mniejszościom narodowym. Pocieszający to symptom, że autorytet kompetencji zdołał przezwyciężyć zacietrzewienie partyjne.

Tem łatwiej „ostali się" ministrowie tak bezpartyjni, jak pp. Kiedroń (Przemysł i Handel) i Tyszka (Koleje). Większem natomiast niebezpieczeństwem groziły wystąpienia ministrów, atakowanych przez lewicę, t. j. pp. Zamoyskiego, Wyganowskiego i Miklaszewskiego. Tymczasem cóż się stało? Pomimo filippik ich politycznych przeciwników, ministrowie spraw zagranicznych i sprawiedliwości uzyskali większość, minister Wyganowski nawet dosyć znaczną — jak na nasze stosunki parlamentarne. „Klęskę" tę odbiła sobie lewica na min. Huebnerze, skreślając demonstracyjnie... 100 zł. z budżetu M. S. W... jednym głosem większości. Oczywiście premier Grabski nie przyjął prośby p. Huebnera o dymisję, motywowanej wynikiem tego głosowania.



P. Pearson minister pełn. Ameryki wręczył panu prez. Wojciechowskiemu listy uwierzytelniające.



Akademja polsko-turecka: Siedzą: p. Kozłowski, wicemarszałek sejmu Sejda, min. pełn. turecki Ibrahim Taliy z dwiema siostrzenicami. Stoją pośrodku: Z. Dębicki, prof. Mościcki, sen. Baliński i prezydent miasta Jabłoński.

Jak dotąd więc, rząd p. Grabskiego wychodzi zwycięsko z prób, które rozstrzygają o jego istnieniu. Świadczy to z jednej strony o autorytecie tego rządu, z drugiej zaś — co niemniej waże — o osłabieniu zaciekłości partyjnej, zabagniającej dotąd nasze życie polityczne. Kto wie, może z biegiem czasu dojdziemy do tego, że ten sam minister będzie u nas, jak w Czechach Benesz, zajmował swój fotel przez sześć lat bez przerwy...

Ale precz z polityką! Skręćmy lepiej w Aleje Ujazdowskie. Tam, na ławeczkach, kwitnie zresztą również polityka, kierowana przez najnieomylniejszego z mężów stanu - Amora... Dyplomaci zagraniczni, którzy jadą tędy do Belwederu, ażeby przedstawiać się Prezydentowi Rzplitej, muszą snuć refleksje, że jednak owe pogłoski, rozszerzane zagranicą o niezgodzie wśród społeczeństwa polskiego są mocno przesadzone. Tutaj, w Alejach, panuje przecież w cieniu drzew tak idealna zgoda...

Niewiem, czy myślał sobie tak i pierwszy poseł Rzeczypospolitej tureckiej w Warszawie, dr. Ibrahim Taliy Bej, który ostatnio przedstawił prez. Wojciechowskiemu swe listy uwierzytelniające na uroczystem posłuchaniu w Belwederze. A była to chwila dla Warszawy i całej Polski specjalnie wzruszająca. Wszak Turcja była jedynem państwem, które nigdy nie uznało rozbiorów Rzeczypospolitej i z niecierpliwością oczekiwało „posła Lechistanu". I doczekało się: nasz przedstawiciel w Turcji, p. R. Knoll, objął właśnie swe stanowisko w Angorze. Słusznie więc poseł turecki wyraził się wobec prasy warszawskiej, że w zakresie przyjaźni polsko-tureckiej nic nie ma już do zrobienia — tak jest silna. Przyjaźń tę Polska ceni sobie wysoko wypróbowała ją bowiem w okresie nieszczęść.



Obchód Narodowego Święta Amerykańskiego „Independence Day" w lokalu Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej. Obecni: prezes Izby Leopold Kotnowski, wiceprezesi: Helena Bisping, Stanisław Arct, Frank Morve, Adam Siszewski, poseł Stanów Zjednoczonych Pearson, adm. K. Porębski, minister Kiedroń, wiceminister Eberhardt.



Ś. p. porucznik-obserwator Karol Laszecki, który zginął w gruzach aparatu.

Katastrofa lotnicza na Rakowicach.

Wszyscy pionierzy postepu ponoszą ofiary na rzecz cywilizacji. We wszystkich częściach świata płynie obficie krew najdzielniejszych bojowników. W dżunglach afrykańskich i na białych śniegach stref arktycznych biały kulturalny człowiek zdobywa krok za krokiem, piędź za piędzią tajemnicze tereny i sfery przestrzeni. Od lat kilkunastu ludzkość znalazła nowe pole dla swej ekspanji zdobywczej. Idzie o rzecz wielką! O ujarzmienie i podbój nieba! Setki i tysiące nieustraszonych pilotów ginie, łamiąc swe orle skrzydła.

Ostatni wypadek na Rakowicach odbił się ponurem echem w społeczeństwie.

Dwóch najśmielszych lotników, padło ofiarą katostrofy i to w biały dzień, na oczach tłumnie zebranej publiczności.

Zginęli porucznik-pilot Jan Latawiec i porucznik-obserwator Karol Laszecki podczas lotu na aparacie włoskim Ansalldo. Ś. p. porucznik Latawiec startował na wysokości około 300 metrów na pełnym gazie i po wirażu obślizgnął się na lewe skrzydło, wpadając w t. zw. „korkociąg".

Przyczyna katastrofy dotychczas nieustalona. Przypuszczają ogólnie, że aparat miał drobne usterki przy mechaniźmie osiowym, wskutek czego przy brawurowym locie nastąpiło tarcie; poczem aparat zaczął spadać z zawrotną szybkością ruchem wirowym, Wtedy por. Latawiec wyskoczył z aeroplanu i spadając, zabił się na miejscu. Towarzysz jego por. Laszecki runął wraz z aparatem i pogrzebany został pod gruzami.

Miejsce katastrofy przedstawia straszliwy obraz zniszczenia.

2 pułk lotniczy traci w obu poległych najśmielszych swoich lotników i serdecznych swoich kolegów.

W sobotę o godz. 6-ej popoł. odbył się pogrzeb bohaterów. Kondukt wyruszył z pod Szpitala Załogi przy ul. Wrocławskiej, poprzedzony kompanją honorową 2 pułku lotniczego i orkiestrą 20 p. p. W powodzi wieńców wieziono na kadłubie samolotu zwłoki ofiar tragicznej katastrofy.

W czasie składania trumien nad cmentarzem rakowickim unosiły się samoloty wojskowe. Na pogrzeb zjawiły się tłumy publiczności, by oddać hołd bohaterom lotnictwa polskiego.

* * *

W ostatnich czasach katastrofy lotnicze pochłonęły tak wiele ofiar, że zaniepokojone społeczeństwo domaga się wyjaśnienia przyczyny tak zastraszająco częstych wypadków.

Faktem jest bowiem, że w żadnym z krajów Europy lotnictwo nie pochłania tak częstych i licznych całopaleń z życia najdzielniejszej młodzieży. Dalecy jesteśmy od rzucania na kogokolwiek oskarżeń o niedbalstwo czy lekkomyślność. Jeżeli jednak przyczyną większości wypadków jest nadmierna brawura i junakierja — to spodziewać się musimy zaostrzenia przez władze wojskowe odnośnych przepisów i zakazów, — jeśli przyczyna tkwi w wadliwości aparatów — to śledztwo wdrożone przez władze oddawna powinno z całą surowością dosięgnąć winnych i wyniki powinny zostać ujawnione przed całem społeczeństwem.



Ś. p. porucznik-pilot Jan Latawiec.



W rocznicę podpisania traktatu pokojowego w Wersalu: Tłumy demonstrantów przed zamkiem wersalskim 28 czerwca 1919 r. w chwili podpisywania traktatu przez delegację państw centralnych.



W rocznicę bitwy nad Marną: W rocznicę bitwy nad Marną, która Francję kosztowała tak wiele ofiar, odprawiono w całej Francji uroczyste nabożeństwa za dusze poległych. Illustracja nasza przedstawia fragment z procesji w „Chalon sur Marne".



Wydarzenia we Włoszech: Nowomianowany minister spraw wewnętrznych, Sinigi Federzoni.

Tragiczne zajścia listopadowe przed sądem.



Ława przysięgłych. Sędziowie przysięgli. 1) Turski, 2) Dr. Liban, 3) Wolf, 4) Friedberg. Z teki karykatur A. Wasilewskiego.

Senzacyjna i tragiczna istotnie rozprawa o zajścia listopadowe zbliża się ku końcowi. Energiczne i szybkie tempo rozprawy doprowadziło do tego, że w ciągu miesiąca świadkowie zostali przesłuchani i w ostatnich dniach pierwszej połowy lipca ostatni, klasyczni świadkowie zaburzeń którzy ich „magna pars fuerunt" jak wojewoda Gałecki, gen. Czikel, posłowie Bobrowski i Marek, złożą swe zeznanie by zakończyć postępowanie dowodowe.

Potem nastąpią przemówienia prokuratora i obrońców i wreszcie narady przysięgłych, którzy odosobnieni, zamknięci i odcięci będą od



Ława przysięgłych. Sędzia przysięgły Bednarski.
Z teki karykatur A. Wasilewskiego.

świata tak długo, dopóki nie dadzą odpowiedzi na 200 z górą pytań co do oskarżonych, które postawi im trybunał.

Ten końcowy okres rozprawy nie obył się — niestety — bez nowych, przykrych, a senzacyjnych zatargów i zajść.

Dwa takie incydenty szczególnie silne wywarły wrażenie.

Jeden — to zatarg między posłem Liebermanem a przewodniczącym, który wywołał wśród słuchaczy gorszące wprost wrażenie — drugi — to senzacyjne usunięcie prokuratora dra Sozańskiego.

W pierwszym incydencie opinja publiczności i słuchaczy podzielona — naturalnie! — na dwa



Członek Trybunału sędzia dr. Warchałowski.
Z teki karykatur A. Wasilewskiego.

obozy, zależnie od poglądów politycznych tych osób, opowiadała się za drem Markiewiczem lub drem Libermanem. Jako pismo bezpartyjne — my w tej sprawie głosu zabierać nie będziemy. Nie



Adwokat dr. Stanisław Szurlej, zastępca rodzin po poległych oficerach

będziemy przesądać, kto winien, a kto miał rację. Musimy tylko z ubolewaniem stwierdzić, że o ile przykre wrażenie sprawia użycie przez obrońcę słów ubliżających powadze trybunału — to tem przykrzejszą jest rzeczą i prawdziwy niepokój o autorytet polskiego sądownictwa musi budzić fakt, gdy przedstawiciele sprawiedliwości nie umieją uniknąć sytuacji, ktora dałaby powód do stawiania im ostrych zarzutów. P. przewodniczący dr. Markiewicz jest zapewne człowiekiem najlepszej woli, ale czy to wskutek przepracowania, czy wyczerpania nerwowego nie może wydołać w utrzymaniu się na poziomie idealnego, bezstronnego sędziego, który przecież nie ma prawa ani z góry przesądzać o winie oskarżonego, ani przekręcać, ni wydrwiwać zapytań obrońców.

Incydent zaś z prokuratorem, którego oskarżyła obrona o porozumiewanie się z przysięgłymi był istotnie wypadkiem niesłychanym w dziejach sądownictwa — nietylko polskiego.



Ława przysięgłych. Sędzia przysięgły Zinger.
Z teki karykatur A. Wasilewskiego.

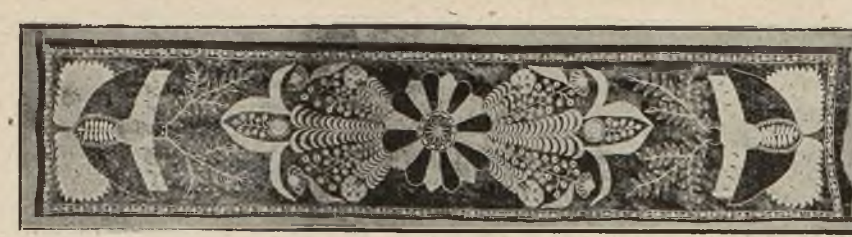
W tej sytuacji stwierdzić należy, że najwyżej i najgodniej godność sędziowską nosi ława przysięgłych — i najkorzystniejsze wrażenie sprawiają świadkowie. Sędziowie przysięgli, którzy w tej sprawie poniosą ciężkie ofiary materjalne raz jeden tylko wystąpili w obronie swych praw — pełniąc nadal swe obowiązki z godnością, lojalnością i sumiennością budzącą szacunek. A klasyczni, najwybitniejsi świadkowie oskarżenia jak gen. Becker lub dr. Abłamowicz zyskali sobie większy szacunek obrony niż p. przewodniczący trybunału.



Obrońca Dr. Rosenzweig.
Z teki karykatur A. Wasilewskiego.



Obrońca Dr. Lustgarten.
Z teki karykatur A. Wasilewskiego.

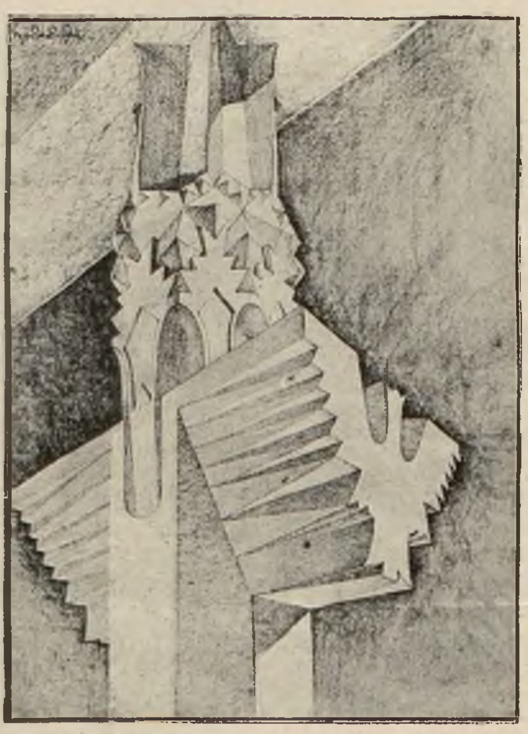
Batiki. Wyrób „Warsztatów Krakowskich". Wykonały Józefa Kogutówna i Stanisława Kaletówna.

Polska na wystawie paryskiej.

Świat zajęty aktualną panbrytyjską wystawą w Wembley, ogarniającą pół kuli ziemskiej, ale będącą właściwie popisem ku chwale jednego imperjum, zdaje się nie pamiętać o tem, że za niespełna 10 miesięcy otwiera się w Paryżu wielka międzynarodowa wystawa, poświęcona tym razem pewnej specjalności, a mianowicie *nowoczesnej sztuce dekoracyjnej* pojętej jednak niezwykle szeroko, obejmującej: architekturę, sztukę urządzania wnętrz, sztukę ogrodów i ulic, sprzętarstwo, mody, dekoracje i inscenizacje teatralne i wszelkie dziedziny artystycznego przemysłu, wreszcie dział pedagogiczny w zakresie powyższych tematów.



Delegat rządu na wystawę nowoczesnej sztuki dekoracyjnej w Paryżu, p. Jerzy Warchałowski.



Stanisław Szukalski. Nowoczesna interpretacja orła polskiego.

Polska, jak wiadomo, bierze oficjalny udział w wystawie. Wyznaczono miejsce na nasz pawilon, który stanie w rzędzie pawilonów wielkich mocarstw na „ulicy narodów" w pierwszym rzędzie nad Sekwaną, jak również dano nam inne dodatkowe przestrzenie wystawowe w Galerji na Esplanadzie oraz w „Grand Palais".

Od dłuższego czasu słyszymy o przygotowaniach polskich na wystawę.

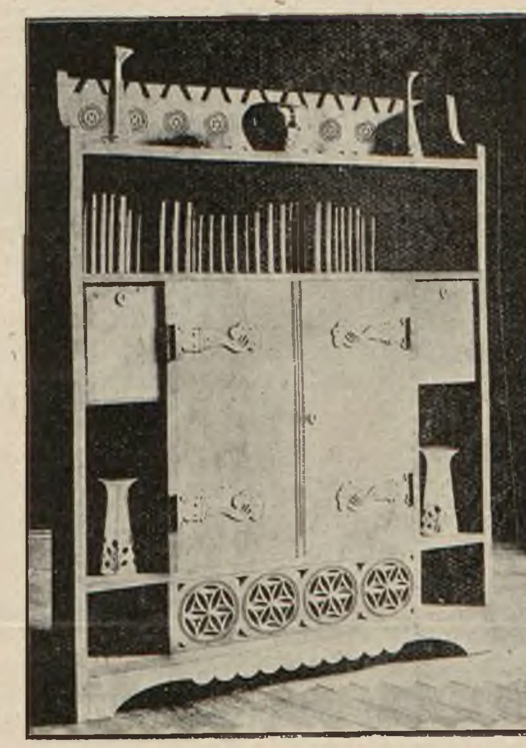
Natrafiły one na ogromne przeszkody natury finansowej, artystycznej i organizacyjnej, gdyż ten międzynarodowy turniej kultury narodów wymaga najwyższego wysiłku artystyczno-przemysłowego bez naśladownictw i przeróbek stylów dawnych, chociażby najdoskonalszych.

Potrzebne do tego są całe legje artystów-twórców, zdolnych pojętnych rzemieślników, następnie chętne i daleko widzące firmy, wreszcie znaczne środki pieniężne oraz zachęta i pomoc ze strony społeczeństwa.

Przygotowania do tego niezwykłego wysiłku jaki nas czeka, spoczęły na szczęście w rękach odpowiednich. Delegatem rządu na wystawę jest znany z długoletniej działalności na polu polskiej sztuki stosowanej, i architektury p. Jerzy Warchałowski, prezes Towarzystwa „Polska sztuka stosowana", organizator wystawy architektonicznej w Krakowie w r. 1912. Przy pomocy komitetu wykonawczego, którego jest prezesem, przygotował p. Warchałowski cały obraz wystawy, jak również utorował drogę w Paryżu i stworzył w kraju podstawę finansową dla przdsięwzięcia.



Puszka drewniana batikowana. Wyrób „Warsztatów krakowskich".



Edward Trojanowski. Półka.

Projekt pawilonu, rezultat kilku konkursów jest gotów i zatwierdzony. Autor projektu prof. Józef Czajkowski jest znanym architektem i malarzem dekoratorem. Piękną dekorację wnętrza zaprojektowała znakomita malarka Zofja Stryjeńska, prócz tego meble, witraże, majoliki, i t. d. projektują najwybitniejsze polskie siły artystyczne.

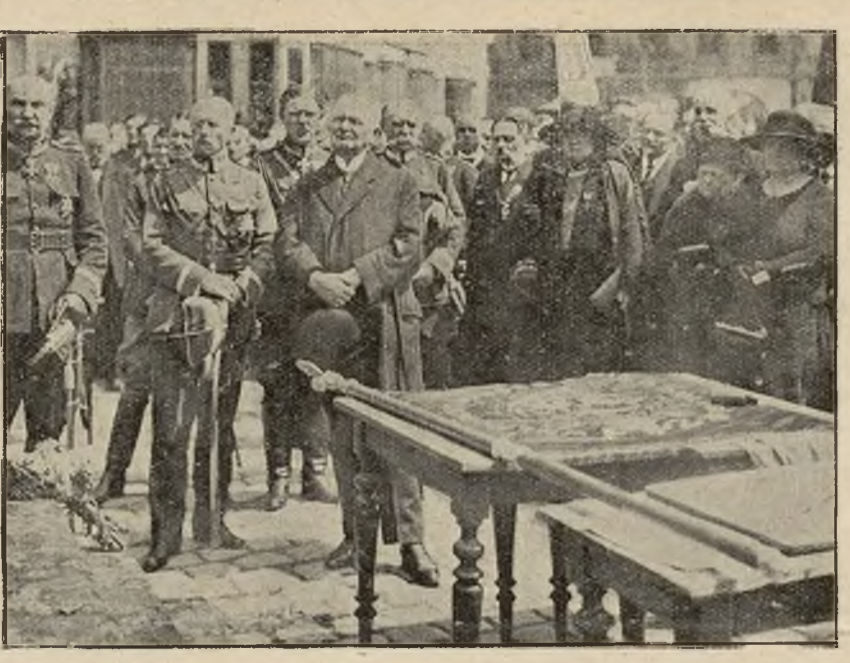
Cały szereg innych artystów gotuje się do wy-





1) **Góral,** rzeźba w drzewie, wyrób szkoły przem. drzewnego w Zakopanem pod kierunkiem Karola Stryjeńskiego. 2) **Czterej Ewangeliści** szkoła przemysłu drzewnego w Zakopanem. 3) **Janosik.** Figurka w drzewie, wyrób szkoły przem. drzewnego w Zakopanem pod kierunkiem Karola Stryjeńskiego.





Poświęcenie sztandarn Zw. b. legjonistów we Lwowie W czasię mszy polowej siedzą w I-szym rzędzie (od prawej do lewej): gen. Januszajtis, dowódca D. O. K. gen. Malczewski, gen. Rozwadowski; dalej prezes weteranów 1863 r. prof. Syroczyński. 2) Wbijanie gwoździ w sztandar.

stawy, nie mówiąc już o warsztatach kilimkarskich, koszykarskich, zabawkarskich, garncarskich pracowniach hafciarskich, koronkarskich i wielu innych. Osobne sekcje zorganizowano dla działu architektonicznego, teatralnego, drukarsko-graficznego, sztuki ludowej, wreszcie dla jednego z najważniejszych, działu nauczania, w którym wezmą udział nasze szkoły artystycznego przemysłu.

Udział Polski w wystawie paryskiej jest zupełnie oficjalny. Do Prezydjum Komitetu Głównego, nad którym objął protektorat Prezydent Wojciechowski wchodza minister oświecenia (z urzędu) jako przewodniczący. X. Eustachy Sapieha jako wiceprezes, redaktor „Świata" p. Stefan Krzywoszewski jako sekretarz dyr. Stefan Benzef jako Skarbnik oraz delegat rządu p. prezes Warchałowski i zastępca delegata w Paryżu, znany artysta rzeźbiarz Ludwik bar. Puget.

W skład komitetu głównego wchodzą najwybitniejsi artyści i działacze społeczni Polski.

Jedną z najtrudniejszych spraw była i jest sprawa finansowa. Budżet wydatków wystawy, jak słychać, obliczono na 320.000 złotych z których rząd zobowiązał się pokryć połowę, a połowę zaś wziąść ma na siebie społeczeństwo. Delegatowi Warchałowskiemu udało się pozyskać do Komisji Finansowej Komitetu głównego wybitne osobistości ze świata finansowego i przemysłowego, które dają rękojmię , że zdołają zebrać brakującą kwotę.

Doprowadzenie do skutku naszego udziału w wystawie paryskiej jest sprawą pierwszorzędnej wagi dla państa i dla społeczeństwa, dla którego przecież nie może być rzeczą obojętną z jakim dorobkiem Polska przedstawi się oczom całego świata kulturalnego w Paryżu. Tyle szkód wyrządza nam jako państwu, nawet w naszych sprawach politycznych wroga nam propaganda, tylu nie tylko upokorzeniami, ale i dotkliwemi porażkami płacimy za zbyt skromne poprzestawanie na roli kulturalnego, ekonomicznego i politycznego półdzikiego kopciuszka Europy, że wystawy tej, mającej dla nas olbrzymie znaczenie agitacyjne, — nie wolno nam lekceważyć.

Przygotowania do niej powinny budzić w społeczeństwie żywe zainteresowanie. To też już dziś podajemy czytelnikom naszym fotografje kilku gotowych już eksponatów i projektów, dających pojęcie o zamierzeniach organizatorów.

Zlot Sokołów w Zakopanem.

Dnia 29 czerwca odbył się w Zakopanem II. Zlot Sokołów okręgu krakowskiego, w którym wzięło udział 1500 umundurowanych członków, nie licząc publiczności.

Zlot poprzedziła msza polowa w rynku, poczem przemawiali do zastepów sokolich wiceprezes dzielnicy krakowskiej, p. Edward Kubalski oraz prezes towarzystwa Podhalan, *Roj*. Po przemówieniach odbył się imponujący pochód przy udziale organizacji „Gwiazda" oraz zastępów straży ogniowej. Po obu stronach „Krupówek" stał zwarty kordon publiczności, witającej eutuzjastycznie druhów i obsypującej ich kwiatami.

Pochód skierował się w stronę pomnika Chałubińskiego, gdzie przedstawiciele organizacji złożyli hołd słynnemu lekarzowi i założycielowi Zakopanego.

Następnie generał Dziewanowski, otoczony oficer mi sztabu generalnego przyjął defiladę drużyn sokolich.

Po południu odbyły się ćwiczenia, pod kierunkiem K. Nowaka, w których wzięli udział druhowie z N. Sącza, N. Targu, Śląska, Spiża i Orawy. Wielką senzację budziły tańce ludowe (krakowiak, zbójnicki i inne).

Wieczorem w sali Czerwonego Krzyża odbył się raut, wydany przez komitet obywatelski, pod przewodnictwem dr. Diehla, dyr. Jamonta, i prezesa Stopowego.

Nazajutrz Sokoli, podzieleni na parę oddziałów, wyruszyli na kilkudniową wycieczkę w Tatry.

Tłumnie zgromadzona publiczność podziwiała niezwykłą sprawność i wyćwiczenie druhów, zaś uczestnicy zlotu podnoszą doskonałą organizację zlotu, za którą zasługa spada na prezydjum i serdecznie usposobionych mieszkańców.

Zlot pozostawił po sobie nadzwyczaj miłe wspomnienie i na długo pozostanie w pamięci uczestników i gości.

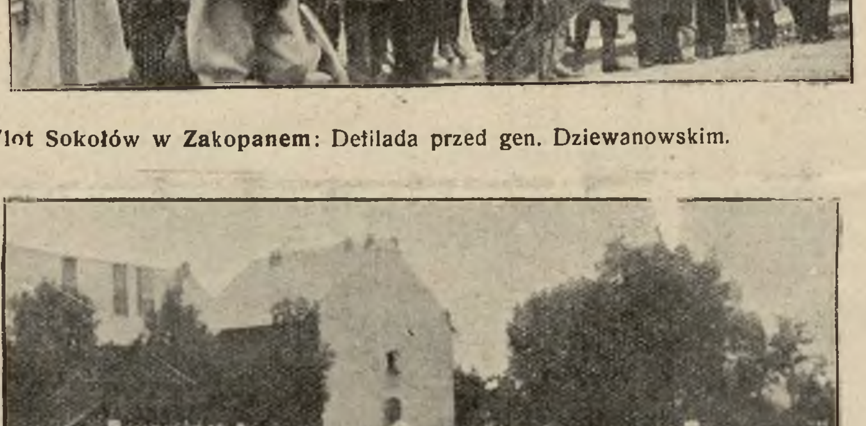


Zakopanem: Msza polowa.

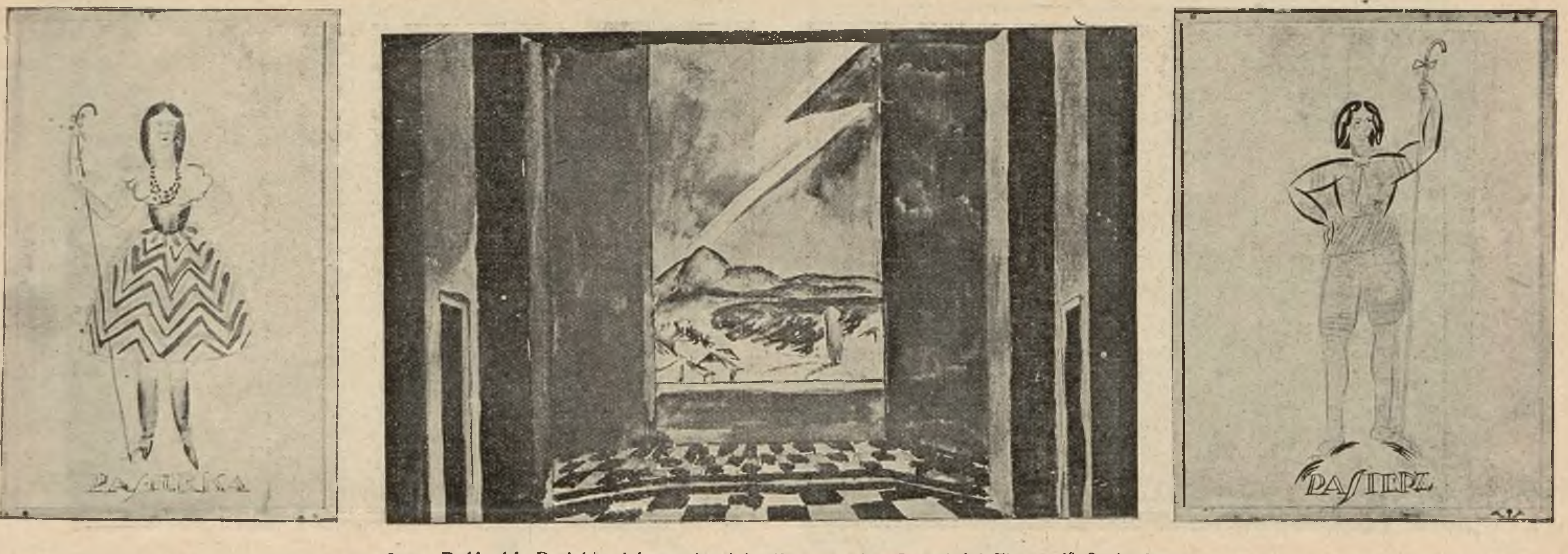


Zlot Sokołów w Zakopanem: Defilada przed gen. Dziewanowskim.





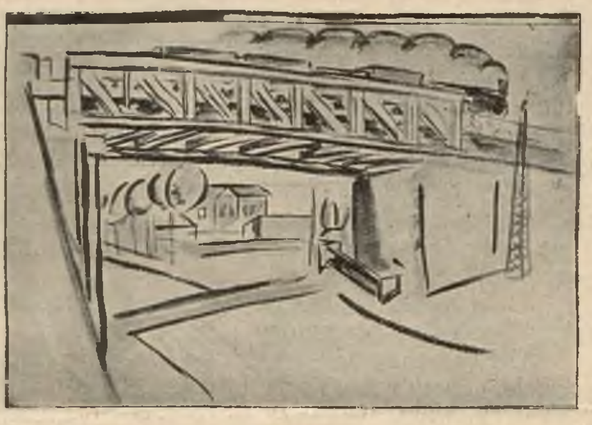
Zlot Sokołów w Zakopanem: Ćwiczenia druhów i druhen.



Leon Dołżycki: Projekty dekoracyjne i kostjumowe do „Opowieści Zimowej“ Szekspira.

Stefan Felsztyński i Leon Dołżycki.

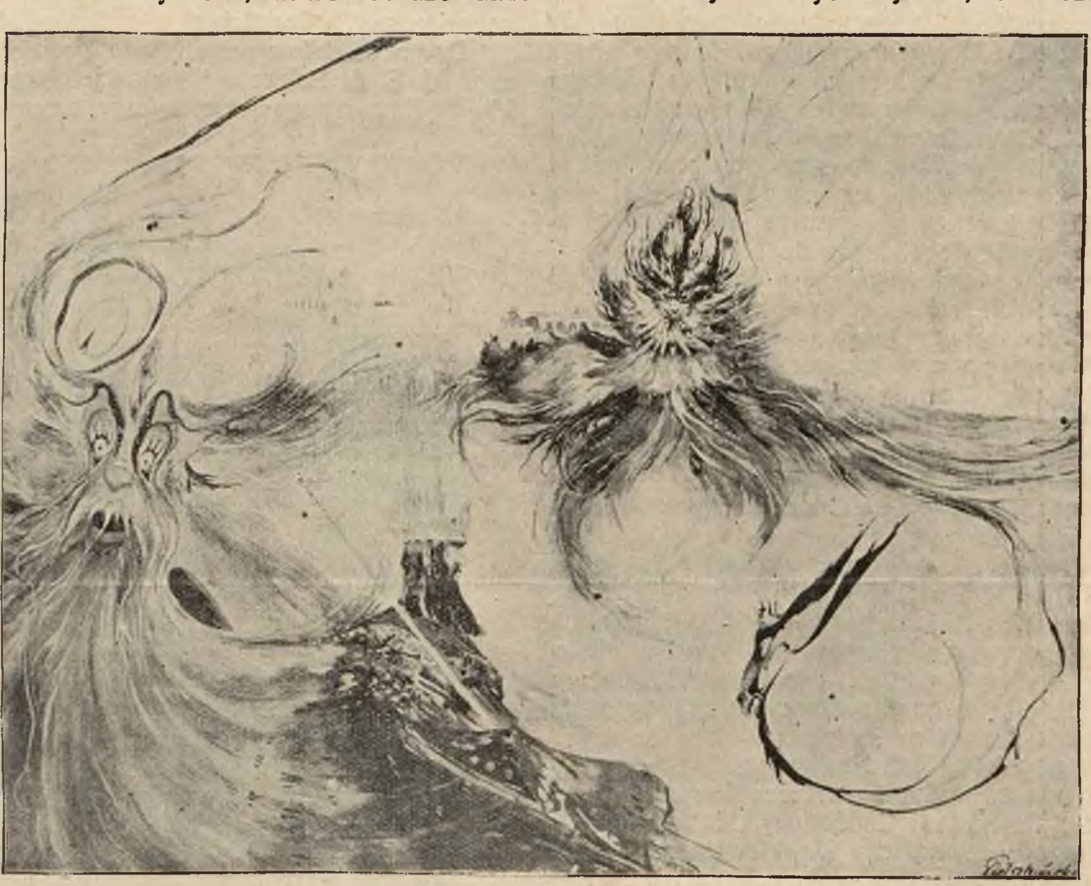
Panującą obecnie w Salonach Krakowskiego Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych doroczną wystawę wiosenną czy letnią poprzedziła skromna i niewielka wystawa „składkowa“. Były tam grupy obrazów najrozmaitszych artystów, niezwiązanych ze sobą niczem — bo nawet nie miały wspólnego (minimalnego choćby) poziomu artystycznego.



Leon Dołżycki: Most.

Obok dobrze naprawdę malowanych portretów Barbackiego (n. dobry był portret męski!) lub doskonale rysowanych motywów architektonicznych Jana Gumowskiego, świetnie władającego ołówkiem choć mniej fortunnego w próbach akwarellowych, obok wreszcie skromnie ukrytych choć ciekawych drzeworytów Jakubowskiego, były tam niesamowite przez swę kakofonję barw obrazki p. Ł., a nawet kompromitujące swym poziomem arystokratyczne „Familien portrety“ i nie nazbyt świetnie malowane akty Pochwalskiego juniora.

Główną salę obejmował w tej wystawie z bardzo pokaźnym ilościowo swym dorobkiem Bunsch. Wystawa jego wywierała na widzu wrażenie przygniatające zarówno ilością, jak i jakością prac. W większości bowiem tych prac widać było, że wyszły one z pracowni malarza, któremu nieba dały duże, nawet bardzo duże



Stefan Felsztyński: „Legenda o królu ośle j głowie“

zdolności, ale te dary niebios marnują się niestety, bo niema tego, ktoby niemi gospodarzył. Niema indywidualności, któraby poza tymi zdolnościami stała, któraby się przy ich pomocy umiała wypowiedzieć. P. Bunsch jako artysta nie wie kim jest, i — mam wrażenie — że nie wie nawet czy wogóle jest kimkolwiek lub czemśkolwiek — czy ma indywidualność własną.

Na tle tych innych wystaw, a szczególniej bezosobowości artystycznej z głównej sali, tym jaskrawiej i znamienniej zarysowały się dwa niewielkie zbiory prac Leona Dołżyckiego i Stefana Felsztyńskiego.



Stefan Felsztyński: „Pieśń niedoli“.

Jestem pewny, że obaj ci panowie, jeśli przeczytają te słowa, będą się czuli obrażeni, każdy w swoim imieniu, za to zestawienie ich tak blizkie. Niech i tak będzie! Sprawię im wobec tego jeszcze jedną przykrość: — że nie uważam, aby ich obrazy, wzięte pojedynczo nie miały sobie równych na całej wystawie. Owszem: poszczególne rzeczy nawet p. Bunscha były lepsze może niż poszczególne obrazy Dołżyckiego i Felsztyńskiego. Ale chodzi mi nie o fakty oderwane, lecz o artystę, o jego oblicze i indywidualność, które się w ich wystawach wyrażają.

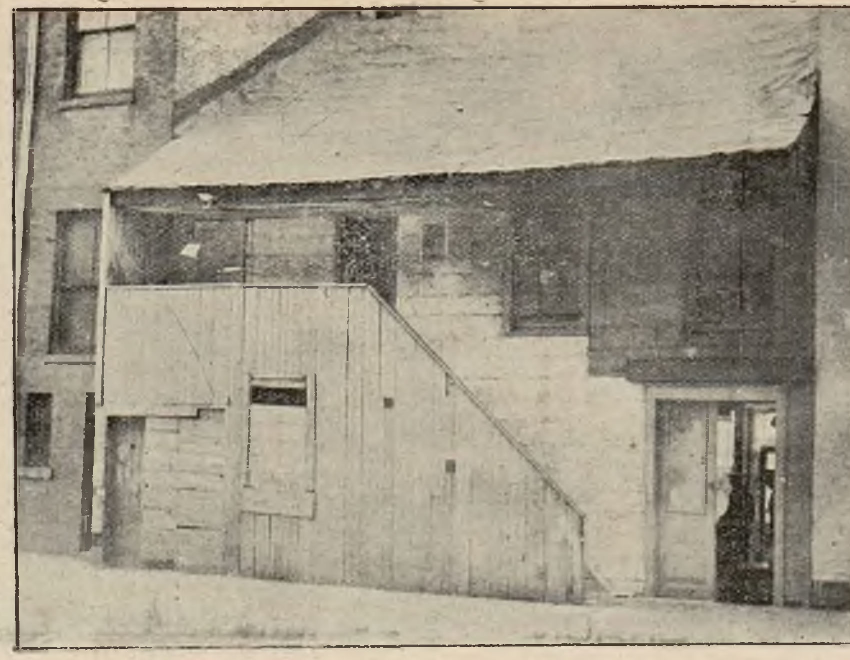
A tę indywidualność malarską oni obaj — i tylko oni obaj w owej przedwiosennej wystawie okazali zdecydowanie i kategorycznie a nawet zuchwale.

I to czyni ich malarzami, którzy mają swoją „klasę“ i swoje własne miejsce.

Nie można być ich zwolennikiem bezwzględnym, bez zastrzeżeń, bo mają oni każdy swoje „ale“. Ale są oni obaj „kimś“. Dołżycki ma naprzykład największego swego wroga w sobie samym — w swym przeintellektualizowaniu. Każdy niemal jego szkic — jest kapitalny. Gdy ten szkic weźmie na warsztat i zacznie go przetwarzać drogą analizy, teoretyzowania i logizowania — staje się niemal dzieciobójcą. Jak pewne plemię murzyńskie zniekształca głowy swym dzieciom deseczkami, aby były „piękne“, — tak on przekształca i przerabia swoje własne twory i wizje, krająć je analitycznie, jakby z jakimś intellektualistycznym sadyzmem. To malarz pasjo-



Aleja miljarderów (5 Avenne) w New Yorku. Ulica ta nieraz zaważyła na życiu finansowem całego świata.



Najstarszy dom w N. Yorku: Mieści się w nim obecnie urząd pocztowy.

nat, o wielkiej, bujnej żywiołowości, którego pasja wyraża się albo w gorących wybuchach, albo też jako pasja zimnego intellektualistycznego dociekania. Trzy czwarte jego wystawy — to rzeczy, z któremi trudno, niemożliwe poprostu się zgodzić — a tem niemniej całość każe w nim szanować malarza, który mimo przerostu dwuch rozbieżnych, sprzecznych czynników: temperamentu i dążności do intellektualizowania jest wielkim, żywiołowym talentem, o dużym rozmachu i ambicji, zdobywającego się na wielkie wysiłki konstrukcyjne, zawsze wartościowe — choćby nieraz dochodzące do absurdu.

Zupełnie odmiennym jest Felsztyński. Ten major szwoleżerów, o szwoleżerskiej fantazji i niepohamowanym, jurnym niemal dowcipie — uczynił niebacznie, dając swe obrazy na wystawę. Zdradził się. Zdemaskował. Pod płomiennemi rabatami szwoleżerskiego munduru okazał się człowiek inny, zupełnie inny, niż ta beztroska leguńska natura, z jaką się popisywał. Toż to liryk najczystszej wody. Czułe, drgające wrażliwe serce, oczy zadumane, smętne lub przerażone, które miast rubasznej rzeczywistości widzą jakieś baśniowe, zwiewne, grające barwami tęczy zjawy wizyjne albo jakieś zjawy i zmory, niesamowite i straszliwe. Te wizje i zjawy istnieją gdzieś w czwartym wymiarze, — ale ten właśnie wymiar jest dla niego rzeczywistością i on w tej rzeczywistości żyje.

Wrogowie tego malarza powiedzą, — że jego obrazy nie są malarstwem lecz literaturą. Nieprawda. To malarz! Choćby wytknięcie mu wpływów japońszczyzny czy Wojtkiewicza podkreśla dość mocno malarskie walory jego prac o tęczowej barwności. To nie literat malujący — ale malarz poeta. A to duża różnica.

Te dwa żywioły: myśl i malarski zmysł, które w Dołżyckim borykają się ze sobą zaciekle, działają odśrodkowo, i usiłują się nawzajem zniszczyć — w Felsztyńskim włażą na siebie wzajem i zespalają się i pokrywają nawzajem.

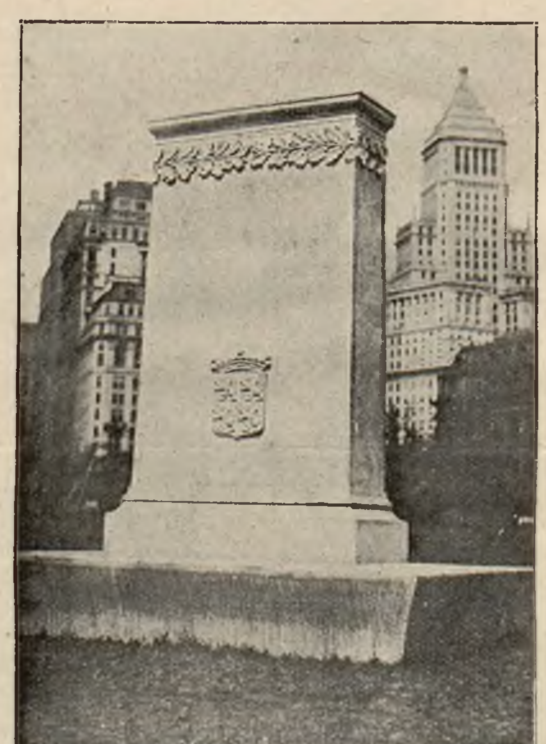
Być może, że są to wady ich obu. Ale być może, że właśnie dzięki temu nie są oni wodą stojącą, ale żywemi indywidualnościami.

Andrzej Świętosławski

Trzechsetlecie New Jorku.

N. Jork, największy businessman z pomiędzy wszystkic miast świata, obchodzi trzechseletnią rocznicę swych narodzin.

Drapacze chmur przystrojono pasiatymi sztandrami U. S. A. Bajeczne illuminacje głoszą wielką chwałę finansowego i ekonomicznego centrum globu



Pomnik na pamiątkę wylądowania Hugenotów, którzy w tem miejscu, gdzie dziś stoi New Jork, założyli kolonję.

Rozjaśnione okna niebotycznych hoteli sieją w rozgwar uliczny falami elektrycznego światła. I gdyby tak ktoś powiedział jednemu z tych biegających gorączkowo ludzi te głupie, ordynarne, idjotyczne słowa: Tu przed trzysta laty nie było nic; rozumiesz, biznessmanie, nic — ani hoteli, ani kinoteatrów, ani ulic, na ich miejscu szumiała dziewicza, sędziwa, amerykańska puszcza i tylko gdzieniegdzie płonęły tajeminicze światełka u wejścia indyjskich wigwamów, zdziwiłby sie okropnie zapracowany amerykanin, bo to w normalnej głowie absolutnie nie może się zmieścić. A jednak było tak w istocie.

W roku 1613 przybyli na zachodnie wybrzeże ameryki Hugenoci, wygnani z Holandji, z powodu prześladowań religijnych i założyli tu kolonię. Jakie straszliwe trudy musieli znosić ci ludzie, otoczeni zewsząd wrogiemi plemionami Indjan, narażeni na wszyskie złe dole pionierów cywilizacji!

Jednak fortuna uśmiechnęła się do małej kolonji. Korzystne położenie naturalnego portu rzecznego i okolica zasobna w bogactwa mineralne wpłynęły decydująco na przyszłość osady. Wychodźcy z całego świata, ci najnieszczęśliwsi, dla których we własnym kraju pola do pracy nie wystarczało, zjeżdżali i zakładali swe osiedla, podejmując twórczą pracę.

Dziś N. Jork obejmuje przestrzeń ponad tysiąc km. kw. i liczy 4 miljony mieszkańców.

Dziwy i cuda architektury i techniki oszołamiają każdego przybysza zaraz na wstępie, Po obu stronach Broadway wzoszą się niebywałe, olbrzymie gmachy: giełdy, ratusza, sądu, Columbia College i przepyszne pałace nowojorkich dzienników.

W centrum miasta drzemie ulica, obsadzona willami, ocieniona koronami starych drzew. Rozstrzygnęła ona już wiele pierwszorzędnych spraw w historji nowoczesnego świata. Od jej drgnienia zależą losy miljonów ludzi — to nerw główny N. Jorku, serce ekonomiczne obu półkól, *five avenue* — ulica miljarderów.

Jeżeli się przeniesie myślą w te niezbyt odległe czasy, kiedy to stały tu tylko porozrzucane tu i ówdzie obronne fermy budzi się słuszna cześćdla tego genialnego narodu, który w tak krótkim czasie dokonał tak wielkiego dzieła.

Jak zły sen przemknęły trzy wieki pracy wytężającej, strasznych zmagań i ucisku Anglji. Duch Waszygtona i Franklina zwyciężył. Dziś na wyspie Bedloe góruje gigantyczny posąg wolności — duma i chluba ponad wszystko wolność miłujących yankesów.





1) Widok portu w New Yorku. 2) Najwyższy „drapacz chmur".



JERZY BRAUN

RYSOWAŁ A. ŻMUDA.

3

Smith siedział bez ruchu.

Nie mrużył wcale rozwartych nadmiernie oczu, choć dziwny, smutny bezwład cisnął mu powieki. Wisząca przed nim blada, fosforyczna kula poczęła jakby drżeć, huśtać się, łamać, jak w falującem zwierciadle wody — i zdało mu się, że zwolna zaczęła się obracać, wirować, krążyć coraz prędzej, aż zmieniła się w mglistą, o zatartych konturach plamę szalejącą dookoła osi, jak wściekłe, rozpędowe koło.

Wszystko stało się dziwne i wiotkie. Cały pokój pląsał i przelewał się, jak fala, a potem i kula, i Smith i pokój ze wszystkiemi meblami i przedmiotami zawirował dokoła wielkiej, bladej głowy „Reżysera“, jak system planetarny dokoła słonecznego centrum. Dziwił się tylko Smith, że ta straszliwa, promieniejąca głowa wciąż jest zwrócona ku niemu twarzą. Chciał tę uwagę wypowiedzieć głośno, ale nie był już w stanie ust otworzyć. Czuł kompletny bezwład, niemoc mięśni i ból w tyle beznadziejnie ociężałej głowy.

Jakieś odurzające zapachy buchnęły mu w nozdrza.

Przed oczyma wszystkie barwy widma słonecznego wytrysły łagodnymi snopami i biły jak fontanny we wszystkich punktach, na które tylko padł wzrok jego,

Do uszu wlewała mu się jakaś obłędna, narkotyzująca muzyka.

Błyszcząca kula znikła, a głowa „Demona“ rozpłynęła się w białą, bezkształtną larwę, która to zmniejszała się, to powiększała, to zbliżała, to oddalała — aż pozostały w przestrzeni tylko dwie latarnie płonących źrenic...

A potem z bardzo niezrozumiałej oddali zadudniał głuchy, jakby podwodny głos reżysera:

— Oto przekonałeś się pan sam na sobie, jak mój płyn hypnotyzujący znakomicie działa. Panie Smith, wszelki opór jest próżny. Teraz jesteś już pan moim człowiekiem. Angażuję pana na czas nieograniczony do moich obrazów. A teraz trzeba wstać i pójść za mną.

Bruno Brown wstał i ująwszy zwisającą bezsilnie dłoń Smith'a, poprowadził go za sobą. Szli przez długie korytarze i schody. Wsiadali w windy, unosili się w górę i spadali na dół, jakby w jakieś okropne otchłanie, aż znaleźli się w dużej, zamkniętej celi bez okien oświetlonej rażącem elektrycznem światłem.

Gdy ocknął się z ciężkiego snu hypnotycznego, nie zdawał sobie sprawy, jakim sposobom się tu znalazł... Chodził po pokoju tam i z powrotem, jak tygrys w klatce. Próbował otworzyć drzwi, badał ściany szukając jakiegoś cudownego sposobu wydobycia się z matni — ale daremnie.

Wreszcie znużony śmiertelnie rzucił się na otomanę i popadł jakby w omdlenie.

W istocie jednak był to gorączkowy sen pełen zjaw, widm i strachów. Zdawało mu się, że siedzi w kinie, w jakiejś wiszącej na zawrotnej wysokości loży — a obok niego Djana. Na ciemnym ekranie zjawiło się przed nim owa straszna, błyszcząca kula kryształowa wirująca naokoło osi. Kula zwiększała się, pędziła wprost na niego, a w napełniającym ją fosforycznym płynie zamajaczyła okropna, galaretowata larwa Demona przewracająca niesamowicie gałkami źrenic. Kulista latarnia zgasła — a poza nią ukazała się w czarne i płomienne smoki japońskie malowana zasłona. Zasłona rozsunęła się zwolna, ukazując na ekranie napis: „Demon Filmu“, a równocześnie Edgar uczuł, że poza jego plecami stoi ów szatański reżyser i śmiejąc się szydersko ciągnie ku sobie Djanę. Edgar bał się odwrócić oczu, a gdy to w końcu uczynił, krzyknął z przerażenia — Djany nie było już obok niego Wtedy zerwał się i rozkołysany na huśtawce zawieszonej w chmurach loży skoczył w dół z karkołomnej wysokości wprost między ogarniętą paniką publiczność i z pięściami rzucił się na ekran Ale wówczas zasłona zesunęła się, pozostawiając tylko wąski pas światła pośrodku, a stamtąd wychylił się jakiś olbrzymi cień i zwalił się na niego potwornym ciężarem.

Edgar uciekał w obłędnym strachu wlokąc za sobą duszące go widmo, uciekał przez ludne ulice miasta, a naokoło niego miast ludzi mrowiły się, skakały, biegały setki aparatów filmowych na kulejących trzech niezdarnych nóżkach. W jednym z tych aparatów rozpoznał Edgar Djanę i rzucił się ku niej z okrzykiem radości, ale wówczas wyłonił się z poza niej powtórnie Demon i objąwszy aparat dłońmi zasłonił soczewkę.

Oczy jego strzeliły snopami radjoaktywnych promieni.

Tłumy ludzi z wyciągniętemi rękami poczęły iść ku niemu, zahypnotyzowane, wpatrzone weń, jak w tęczę — i zerwał się głuchy, okropny, ścinający krew w żyłach jęk, szloch i skowyt beznadziejnie zrozpaczonych miljonów...

Smith przez sen krzyczał, przewracał się i wzdychał.

Światło elektryczne zagasło.

ROZDZIAŁ IV.

— Mac!

— Słucham.

— Raporty.

— Oto są.

— Czy zaszło co szczególnego?

— Nie mister Borghe... Chociaż...

— No?

— Mała senzacja w „branży“ artystów — — —

— Skandal erotyczny?

— Nie. Tajemnicze zniknięcie... Byłaby to zresztą sprawa błaha, gdyby nie osoba zaginionego ..

— Ważna?

— Tak Edgar Smith, „genjusz filmu“.

— Co? Znowu to samo?

— Przepadł bez wieści.

— To już czwarty z rzędu — — —

— W samej rzeczy. To zakrawa już na jakąś zbrodniczą, planową robotę.

Tu ajent Mac Sterling nachylił się nad szefem i począł z przejęciem szeptać mu coś do ucha.

Wielki Detektyw ściągnął brwi i zastanowił się głęboko. Potem rozkładając palce prawej dłoni, liczył...

— Pierwszy zaginął — o ile sobie przypominam — ten Amerykanin zaproszony przez „Great-Film-Company“.

— Pańska pamięć nie zawodzi, mister Borghe.

— Potem miss Mary Marburg, „gwiazda“ stolicy.

— To druga.

— Oskar Lehnert — chluba Niemiec.

— Tak jest. Pan Edgar Smith jest czwartym z rzędu...

Wielki Detektyw zdziwiony i niezadowolony kręcił głową, poczem wyjął powoli cygaro z rzeźbionego etui i zapalił. Jakiś czas dumał, kombinował, rozważał, otaczając się kłębami wonnego dymu.

— Hm...

— Oh, sire.

— Więc dotychczasowe śledztwo w sprawie tamtych trojga nie wydało żadnych rezultatów.

— Żadnych niestety. Sprawa jest zupełnie ciemna.

— Ależ to już dwa tygodnie od pierwszego porwania. Opinja publiczna jest poważnie zaniepokojona. Prasa, zwłaszcza filmowa poczyna już w głos trąbić o tem i narzekać na nieudolstwo władzy. Tak być nie może...

Ajent główny rozłożył bezradnie ręce.

— Panie szefie! Sam pan wiesz, że poruszyliśmy wszystkie sprężyny. Najzdolniejsi ajenci i detektywi są w ruchu.

— W takim razie sprawca tych dziwnych zamachów to jakiś mądry i niebezpieczny ptaszek. Pańska hipoteza?...

— Tak sądzę Tak wnioskuję. Bo cóżby to mogło być innego. Jakiś manjak, jakiś wróg filmu chce zwalić po kolei największe jego filary...

— To nie wydaje mi się prawdopodobne. Gdyby to były zwyczajne zbrodnie, bezwątpienia wpadlibyśmy na trop mordercy.

— A cóż pan przypuszcza, mister Borghe?

— Ja zaryzykowałbym inne twierdzenie. Sądzę, że to raczej jakaś potężna zagraniczna wytwórnia przepłaciła tych aktorów i usunęła z widowni, by zaintrygować opinję i publiczność, a teraz wystąpi z jakimś fenomenalnym obrazem, w którym wezmą udział najwięksi aktorzy świata. To porwanie to będzie bluff reklamowy.

— Hm..

— Pan wątpi?

— To nie. Być może, że pan ma rację. Ale...

— Cóż takiego?

— Ja wietrzę w tem jakiś nieczysty interes.

Borghe strzepnął palcami.

— Ale, ale, panie Mac . A propos ostatniego wypadku. Czy porwanie Smitha stało się już wiadomem ogółowi?...

— Stało się to niedawno. Wczoraj rano. Ale mam wrażenie, że już cośkolwiek zaczynają o tem mówić.

Przerwał im dzwonek telefonu...

— Kto mówi? — zapytał Borghe.

— Tu dyrekcja wytwórni „Sambo-Film".

— Tu George Borghe.

— Doskonale. Panie Borghe, czy wie pan o zniknięciu Edgara Smitha?

— Do djabła! — zaklął po cichu Wielki Detektyw, zwracając się do głównego ajenta. — Wiedzą już!

Poczem zwrócił się znów do aparatu

— Wiem. Doniesiono mi o tem. Poszukiwania w toku.

— Smith wrócił wczoraj rano parowcem „Benares" z Indji i miał się zgłosić u nas dla podpisania umowy na nasz najnowszy obraz. Dotąd go nie było. Sekretarz jego zaurgowany telefonicznie oznajmił nam, że jego pan przepadł bez wieści.

— Cóż panowie sądzicie o tem?

— Konkurencja!?

— Tak i ja myślę. Zobaczymy..

— Do widzenia.

— Do widzenia.. Ale — jeszcze moment. Panie Borghe, chciałem tylko dodać, że opinja publiczna jest bardzo wzburzona i ten nowy fakt narobi wielkiej wrzawy.

— Przewiduję to niestety...

— Chciałem... to jest, przepraszam.. chcieliśmy zwrócić uwagę, — nie, źle mówię... proszę mi nie mieć za złe.. chodzi tu o prestige władzy... Prestige władzy jest zachwiane. Trzebaby to naprawić.. prawda?... Przepraszam bardzo za uwagi, dziękuję, do widzenia.

— Au revoir!

Tu Wielki Detektyw zirytowany odłożył słuchawkę...

— Widzi pan... Jak się to panu podoba? Złośliwe uwagi. Policja jest bezsilna, nie umie działać.. Opinja wzburzona.. Pouczają nas o naszych obowiązkach...

Począł chodzić po pokoju tam i z powrotem dużymi, energicznemi krokami.

— Wstyd! Blamaż! — wyrzucał ostre, szybkie słowa. — Trzeba działać! Panie Mac, puść pan w ruch całą maszynę. Niema czasu do bezpłodnych namysłów. Miasto się gniewa!

Nagle zatrzymał się.

— Oho! — mruknął do siebie...

Ajent wybałuszył nań oczy i czekał z zapartym oddechem.

— Sterling!

— Do usług!

— Na ulicy „Lampjonów"...

— Tak... nowe kino. Wspaniałe kino!

— Kto buduje?!

— Jakaś nieznana figura. Blank, czy ki djabeł?

— Skąd?

— Cudzoziemiec. Przyjechał z Bombayu...

— Uhm! — ucieszył się Borghe...

— Czyżby?...

— Tak panie Sterling, w tem coś jest Blank, Bombay, nowy kinoteatr, zawrotny pośpiech budowy!.. Skąd on ma pieniądze ten cały Blank? Kto to łoży na to? Akcje?

— Nie. Własne fundusze. To jakiś Krezus — rzuca dolarami, jak śmieciem.

— Poco buduje kino? W ten sposób chyba nie potrzebuje zarabiać! O! panie Mac! To będzie jakaś tęga awantura. Nie wiem co — nie wyobrażam sobie nawet, — ale będzie. A teraz dość... Proszę natychmiast wziąć pod obserwację tego człowieka.

— Słucham!

— Do widzenia.

Główny ajent wyszedł. Jeszcze na korytarzu lazł przed siebie na oślep i stukał się palcem w czoło.

— Istotnie, istotnie. A to łeb. Nawet mi to na myśl nie przyszło. Taki ot sobie Blank. Buduje kino, no to niech buduje. Tyle się kin buduje ciągle w stolicy... A on, ten mój szef, to łeb. Stop! panie święty — pobiegł, stanął, krzyknął i już wie... Oho — panie dyrektorze Blank! Już się tam pana dobrze psami gończymi obstawi. Moja w tem głowa...

Mac Sterling wciąż olśniony i podniecony biegł do swej kancelarji, przeskakując po trzy schody naraz.

Za chwilę policyjna centrala telefoniczna rozśpiewała się przeraźliwie gwałtownym sopranem nawołujących dzwonków, a tajemniczo-poufne instrukcje i rozkazy leciały błyskawicznie po drutach ponad ulicami beztroskiej, szalejącej, nie wiedzącej o niczem stolicy.

I już za godzinę inżynier kierujący budową monumentalnego kinoteatru na ludnej ulicy „Lampjonów" przyjmował do pracy paru nowych robotników, którzy dziwnie skwapliwie kręcili się koło gmachu i ze szczególnem zainteresowaniem spoglądali na dyrektora Blanka, zajeżdżającego autem przed budowę dla skontrolowania postępów pracy.

Mister Blank i panowie przybywający w jego towarzystwie, zupełnie nie prosząc o to, poddani zostali szczegółowym oględzinom zaczajonych gdzieś po kątach ajentów i znaleźli się bezpłatnie na kliszach aparatów fotograficznych.

I jakby nie dość było tych wszystkich okazywanych im względów zainteresowania, w suterynach domu Nr. 146 przy ulicy „Lampjonów" naprzeciw wznoszącego się z djabelską szybkością kinoteatru umieścił się ciekawy i chytry posterunek obserwacyjny, który nie przepuścił żadnemu indywidum wchodzącemu i wychodzącemu z podejrzanej budowy i za każdym wysyłał natychmiast czujnych wywiadowców. Gorliwi ci chłopcy pomykali za takim „ptaszkiem" trop w trop — jak kochające Anioły-stróże i z wrodzoną sobie bezwstydną niedyskrecją śledzili skąd, dokąd i poco wędrują ci obywatele stolicy i gdzie rozkładają na noc swe legowiska...

Na drugi dzień przed głównym ajentem Sterlingiem leżała już na biurku spora paczka fotografji, raportów, planów i notatek, które on przeglądał z uwagą, wybierając te, które specjalnie go zainteresowały i które, według niego, miały szczególną wagę dla sprawy. Skontatował jednak odrazu na pierwszy rzut oka, że albo nie było w tem nic podejrzanego, (co zresztą wykluczał z góry), albo też pan Blank i jego towarzysze byli to niezmiernie wyrafinowani i sprytni jegomoście. Wyglądało to tak, jakby już z przerażającą spostrzegawczością zorjentowali się, że są śledzeni i najniewinniej w świecie, z arogancko-ironicznym uśmieszkiem wyprowadzali w pole polujących na nich detektywów. Ten stos papierów zawierał istny chaos i gmatwaninę niejasnych, zdezorjentowanych raportów, niespodzianek i sprzecznych doniesień.

Ślady pozornie proste i wyraźne, jak na dłoni, urywały się nagle, najjaśniejsze tropy pogrążały się w cieniu, śledzeni dżentelmeni znikali jak kamfora z przed oczu najzręczniejszych ajentów.

— Ten wściekły Blank to albo duch z piekła rodem, albo łotr przebiegły i mądry, jakiego świat nie widział — szeptał przez zaciśnięte zęby zirytowany Mac. — Tu jest, za chwilę go już niema, stąd wyjechał autem, ale nigdzie nie dojechał, tam znowu wszedł do bramy kamienicy i wcale z niej już nie wyszedł, a zapytywany stróż pierwszy raz w życiu słyszy o takim. Rozumiem się na tem i znam różne wybiegi. Można uciekać, mylić ślady, można charakteryzować się, przebierać, mieć tajne wyjścia i szajki najgiętszych drabów na usługi — ale tak się wywijać, to są — do stu tysięcy djabłów — kpiny z uczciwej policji. Czekaj bratku, zagnę ja na ciebie parol.

I Mac podwoił czujność, wyznaczył nagrody dla tych, którzy wynajdą coś podejrzanego i sam rzucił się w hazard tych tajemniczych łowów, wytężając swój spryt i rzucając na szalę całe doświadczenie swej wieloletniej detektywicznej pracy.

Kręcił się koło wyżej wspomnianej budowy.

A było na co patrzeć.

Z błyskawiczną, zawrotną szybkością rosły w górę, piętrzyły się rusztowania, żelaznobetonowe ściany wznosiły się, jak za dotnięciem czarodziejskiej różdżki ogromne ciężarowe automobile zwoziły materjał budowlany, a robotnicy uwijali się jak w ukropie. Paropiętrowy gmach był już prawie gotów, het w górze na zawrotnej wysokości maleńcy, czarni ludzie kładli dach na grzbiecie najwyższego piętra, a wewnątrz elekryczne piece i rury suszyły mury i biały tynk pokrywał mocne, elastyczne ściany.

Potężne łuki trawersów podtrzymywały sklepienie rozległego hallu. Wysoka na trzy piętra widownia kolosalna była, jak wnętrze katedralnego kościoła

Trzy majestatyczne, błyszczące złoceniami półkręgi lóż i balkonów jedne ponad drugimi otaczały widownię, jak trzy migocące łańcuchem kręgów rozwinięte węże.

Wszędzie blask, złoto, feerje łamiących światła zwierciadeł, wspaniałe obicia, fontanny gorących barw, buchające z fresków, witrażów, sufitów i dziwacznych współczesnych malowideł.

— Ho, ho, — myślał Mac Sterling, obserwując z podziwem rekordową szybkość pracy i przepych budowli. — Pan Blank sypie złotem, jak z rogu obfitości. Jego dolary mnożą się widocznie jak króliki...

Tegoż dnia — znanego sobie z fotografji Blanka ujrzał Mac po raz pierwszy na własne oczy. Dyrektor wysiadł z dystyngowanej, czarnej jak noc limuzyny i witając się z inżynierem kierującym robotami zaczął z nim prowadzić cichą, poufną rozmowę.

Mac przyjrzał mu się dobrze.

Był to niemłody już, ale zawsze elegancki i pełen werwy dżentelmen, o dziwnie zwinnych, prawie gimnastycznych ruchach, żywej, lecz wytwornej gestykulacji i bardzo wyrazistej twarzy. Ubrany modnie, według najnowszego fasonu, z monoklem w oku i uprzejmym uśmiechem na ustach był ten pan uosobieniem miłej, serdecznej pogody ducha i wzorem dobrego wychowania.

(Ciąg dalszy nastąpi).

J. A. MITCHELL.

Ostatni Amerykanin

Urywek z dziennika *Kan Li'ego*, księcia *Dimf Ju-Chur* i admirała marynarki perskiej.

Przełożył *(rd)*.

Kilka słów KASIMA zwanego „Skietlerą mądrości"
Kuratora Cesarskiego Muzeum w Szyraz, autora dzieł *„Niebieskie zwycięstwo Kalifornji"* **i** *„Północna Ameryka pod irlandzkimi władcami"*.

Godne podziwu odkrycia Kan Li'ego, księcia Dimf-Ju-Chur dały wiele wyjaśnień o domowem życiu Amerykan. Nie przeczuwał on nawet, skoro przybył do tego drzemiącego kontynentu, jak wielką oddał przysługę historji i jaki entuzjazm wzbudziły jego odkrycia wśród perskich archeologów.

Każdy z badaczy starożytności zna dobrze owe fakty.

Lecz dla wygody tych, którzy jeszcze nie wiedzą o tym nadzwyczajnym narodzię radzę po pierwsze, by odwiedzili muzeum w Teheranie dla zainteresowania się tym tematem, i po drugie polecam im przeczytanie książek, jak np. Abdula „Co znalazłem na Zachodzie" i „Historje Amerykanów" Ala al Kalefa. To ostatnie dzieło jest kompletne i wiarygodne; podaje historję tego narodu od czasu republiki za rządów Jerzego Washingtona do r. 1900 kiedy zaginęli jako naród Muszę jednak wyznać, iż Ala al Kalaf pozostawia czytelnika bardzo rozczarowanego, co do perjodu między rzezią protestantów w roku 1927, a zagarnięciem władzy przez Irlandczyków w 1940 roku.

Sądzi on, podobnie jak i wielu innych historyków, że Amerykanie byli rasą mieszaną, która miała nie wiele patrjotyzmu, a była jedynie rasą naśladowców; zwiększoną jedynie kopją innych narodów, żyjących w owych czasach. Uważa on ich za ciemny, nerwowy, rozrzutny naród i przyznaja im niewiele pochlebnych cech. Oczywista, jest to słusznem, jednak będą oni zawsze godnym zainteresowania przedmiotem studjów dla ich szybkiego rozwoju, dziwnej mechanicznej mądrości i ich nagłej, prawie niewytłumaczonej zagłady.

O ich bogactwach, dostatkach i stopniowej degeneracji mieszkańców, o straszliwych zmianach w klimacie, które kraj zniszczyły, o szybkiej zmianie olbrzymiego kontynentu, pełnego miljonów ludzi miłujących życie, w milczącą pustynię, gdzie z kolei słońce i księżyc oglądają setki zrujnowanych miast — o tem wszystkiem pisze Ala al Kalaf wyczerpująco i dokładnie.

Na pokładzie statku „Testudo" („Żółw") w roku 2951.

10 maja.

— Ziemia przed nami!

Ab-i-Ganu pierwszy ją spostrzegł, a skoro okrzykiem zwiastował nam tę nowinę, serce me zabiło z radości. Głodni marynarze zapomnieli o swych pustych żołądkach i tańczyli z radości po pokładzie. Nie broniłem im tego! Miesiąc pustki na niespokojnem morzu, może być powodem małej głupoty. Jeden tylko *Abdul* nie okazuje entuzjazmu Serce starca jest jakby niewzruszalne.

Widzimy jasno ziemię — nieokreśloną linję na zachodnim nieboskłonie. Z północnego zachodu wieje pomyślny wiatr, jednak płyniemy wolno, bowiem „Testudo" jest ciężkim okrętem, którego ciężka rufa czyni niezdolnym do szybkości.

Ziemia gdy okręt się zbliża, zdaje się być pokryta drzewami, a białe fale w połączeniu z żółtawą barwą wybrzeża stanowią miły widok.

11 maja.

Dzisiejszego popołudnia odkryliśmy piękną zatokę, gdzie obecnie zarzucamy kotwicę.

Ab-i Ganu twierdzi, że przybyliśmy do jednej z zachodnich wysp, o których wspomina Ali-Baba, Abdul jednak jest pewnym że jesteśmy bardziej na północy.

12 maja.

Co za zmiana w Abdulu! Jest on obecnie najmłodszym z ludzi na statku! My wszyscy radujemy się równo z nim. Bowiem nasze odkrycia są faktycznie nadzwyczajne.

Tego poranku, gdy jeszcze byłem w łóżku wbiegł on do kajuty i zapomniawszy o różnicy w randze chwycił mnie za ramię i chciał wydrzeć z łóżka. Zapał jego był tak wielki, że zupełnie nie rozumiałem jego słów. Jednak spiesząc za nim, dziwiłem się, skoro zauważyłem, że stare nogi niosą go tak szybko. Skakał ze stopnia na stopień, jak młody kociak, ja zaś lubo młody nie mogłem mu nadążyć.

Lecz, jakiż obraz ujrzałem, stanąwszy na pokładzie! Wczoraj nie widzieliśmy tego, bowiem skoro zarzucaliśmy kotwicę okoliczę osłaniał już mrok.

Naprost nas, wśrodku zatoki wznosił się wielki posąg, wiele razy wyższy od masztów okrętu, Dalej poza nim płynęła szeroka rzeka, w której wodzie płynęliśmy, powierzchnia jej migotała od wschodzącego słońca. Na wschodzie, gdzie wskazywał Abdul drżącemi palcami leżały ruiny bezkresnego miasta. Szeroko rozciągały się one wgłąb kraju, dalej niż mogliśmy dojrzeć. A z mniejszej rzeki na prawo wyrastały wgórę dwie olbrzymie budowle, podobne dwu bliźniętom, jakby stojąc na straży leżących w dole ulic. Żaden głos do nas nie doszedł, nic nie mąciło gładkiej powierzchni wód. Widok był podobny do snu śmierci. Stałem do głębi zdziwiony.

Gdyśmy tak patrzyli, jakiś dziwny ptak, podobny nieco do czapli, wzniósł się z gardłowym krzykiem z pod wysokiej budowli i leciał do miasta.

— Co to jest? — spytałem. — Gdzie my jesteśmy?..

— Tak, gdzie? — rzekł Abdul. — Gdybym tylko wiedział o tem wasza wysokość, mógłbym dać o tem wyczerpujące informacje. Żaden podróżnik nie wspomniał nigdy o tych ruinach. Perska historja nie posiada opisu tego narodu. Allach chciał byśmy nowy świat odkryli.

Po chwili zeszliśmy na ziemię i znaleźli się na starożytnej ulicy, gdzie chodnik był pokryty trawą i kwiatami rosnącemi razem w dzikim bezładzie. Wysokie drzewa wysuwały swe ramiona przez okna i dachy, tworząc smutny widok. Dawały one jednak przyjemny cień, bowiem powietrze na ziemi znaleźliśmy ogromnie gorące i ledwo możliwe do wytrzymania. Dziwne budowle po obu stronach były dobrze zakonserwowane, nawet szyby znajdowały się w wielu domach, ujęte w żelazne ramy.

Szliśmy naprzód po gęstej trawie — Abdul i ja — niesłychanie podnieceni naszemi odkryciami i oczarowani tym niespodziennym widokiem. Światło słońca miało oślepiającą jasność, ptaki wszędzie śpiewały, a piękne kwiaty tworzyły ozdoby ruin. Wkrótce znaleźliśmy się w miejscu, które było ongiś niewątpliwie parkiem publicznym, a dziś stanowiło czarny gąszcz. Siedliśmy na zwalonym drzewie i patrzyli na wysokie budowle wznoszące się dookoła nas. Wtedy spytałem Abdula czy nie wie jeszcze, gdzie się znajdujemy; on zaś odrzekł:

— Nie wiem jeszcze; architektura jest bardzo zbliżona do europejskiej, lecz to o niczem nie stanowi.

Wtedy rzekłem doń żartem:

— Niech nas to nauczy, Abdulu, o szczupłości i największej naszej mądrości. Który z twych uczniów z *Cesarskiego Kollegium* w Ispahanie mógłby pomyśleć, że jego szanowny nauczyciel historji i języków może odwiedzić największe miasto świata, a wiedzieć o nim tak mało?!

— Słowa twe są słuszne, książę — odpowiedział — wiemy nie wiele więcej niż dzieci.

Wyszedłszy z gęstwiny ujrzałem płytę kamienną, która zdawała się mieć jakieś znaczenie. Leżała ona u nóg naszych częściowo pokryta roślinnością, gdzie zwaliła się z kolumn, na których była oparta. Na jej powierzchni znajdowały się dziwne litery, ostro wyryte, tak wyraźne i czytelne jak były niegdyś zrobione przed 10 wiekami. Wskazałem ją Abdulowi, który pochylił się nad nią ciekawie. Oto ów napis: *„Astor House"*.

— Napis jest w języku staro-angielskim — zawyrokował. — „Hous" znaczy dom, lecz słowa „Astor" nie rozumiem. Możliwe, że była to nazwa bóstwa, którego świątynia tu stała.

Ta uwaga stała się dla nas wystarczającą i poczęliśmy w koło szukać nowych napisów.

Nasze kroki zaprowadziły nas w inną ulicę, którą gdy szliśmy wyrazilem me zdziwienie z powodu niewytłumaczalnego zakonserwowania się kamieni, które wyglądały jakby wczoraj obrabane.

— W tej atmosferze wietrzenie jest powolnem — rzekł Abdul. — Tysiąc lat przynajmniej minęło od czasu jak domy te były zamieszkałe. Spójrz naprzykład na ów dąb. Samo drzewo wyrosło podczas stu lat, a przecież z ruin poznajemy, że wieki były przed jego powstaniem..

Przestał nagle mówić, ujrzawszy napis nad drzwiami, częścią zakrytemi gałęziami dębu. I nagle zwróciwszy do mnie tryumfalne spojrzenie wykrzyknął:

— Mamy! już mamy!

— Co mamy? — spytałem.

— Informację, która nam była potrzebną!

I wskazał na napis; *„New York Stock Exe"*... Drżał cały z radości.

— Czy słyszałeś kiedy o *Nu-Jok*, mój książę?

Odrzekłem, że czytałem o nim swego czasu w szkole.

— Więc dziś w nim jesteś! — odparł. — Stoimy na zachodnim kontynencie! Nic dziwnego, że uważaliśmy naszą podróż za tak długą!

— A cóż to jest *Nu-Jok?* — spytałem. — Czytałem o nim w Kolegjum, lecz mało o tem pamiętam. Czy nie była to stolica starożytnych Amerykan?

— Stolica nie, lecz inne, największe miasto. Miało ono cztery miljony mieszkańców.

— Cztery miljony! — wykrzyknąłem. — Zaprawdę, Krynico Mądrości, to jest olbrzymia ilość na jedno miasto!

— Ale tak jest faktycznie, mój książę. Dalej, jak wiesz, by przebyć owo miasto należy iść przez wiele dni.

— Tak, jest ono bez granic.

Abdul mówił dalej:

— Dziwne to, że jedno słowo tak wiele może wyjaśnić! Te żelazne budowle, ta wielka statua przed zatoką, świątynie z wieżami, wszystko to jest w historji.

Na to odrzekłem, że mało wiem o Amerykanach pozatem, co czytałem w Kolegjum, ponieważ byli oni narodem, który nie budził we mnie zainteresowania,

— Usiądźmy w cieniu — rzekł Acdul — a ja ci, książę o nich opowiem.

Usiedliśmy. Abdul opowiadał:

„W ciągu długich XI. wieków rozpadały się w gruzy miasta tego śpiącego kontynentu w zupełnej samotności. Zapomniano o nich, nawet, iż kiedykolwiek istniały. Ludzie którzy je wznieśli znikli już dawno, a ich cywilizacja stała się okrytą urokiem tradycji. Dlatego dziwią się historycy, że naród składający się z miljonów ludzi mógł zniknąć jak mgła i tak niewiele po sobie zostawić. Lecz dla tych, którzy znają ich zwyczaje i charakter, nie jest to niespodzianką. Nie było niczego, coby mogli pozostawić. Amerykanie nie posiadali własnej literatury, ani sztuki, ni muzyki. Wszystko było pożyczane. Nawet ubiory, które nosili były śmiechu wartą kopją według modeli innych narodów. Byli oni żywą, ruchliwą, przebiegłą i chciwą rasą oddaną ciałem i duszą gromadzeniu bogactw. Ich największą namiętnością było sprzedawanie i kupowanie. Nawet kobiety wszystkich klas spędzały wiele czasu w sklepach, ponieważ suknie ich były skomplikowane i starania o nie zajmowały im większą część życia..."

— Co za haniebność!! — wykrzyknąłem.

— Tak też było faktycznie, — odparł Abdul — lecz i one nie były bez cnót. Ich życie domowe było szczęśliwem. Mężczyzna miał tylko jedną żonę, którą uważał za równą sobie.

— To dziwne! Lecz o ile pamiętam, oni byli narodem o dostycznem pojęciu honoru.

— Za taki też byli uważani; ich honor kupiecki był żartem. Byli on więcej chciwi, niż Turcy. Przyszłość była ich bogiem, którego prorokami był podstęp i wynalazek. Tej gorączkowej aktywności żaden z Persów nie zrozumie. Kraj ich był pełen przemysłu. Nerwowi Amerykanie przenosili się z miejsca na miejsce szybko systemem lokomocji, jaki my możemy sobie tylko wyobrazić. Były to drogi o szynach żelaznych, na których małe domki o kołach pędziły z taką szybkością, że normalny dzień drogi przebiegali w jednej godzinie. Olbrzymie okręty bez żagli, poruszane misternymi przyrządami niosły równocześnie setki ludzi do najrozmaitszych punktów świata.

— Czy to wszystko zaginęło? — spytałem.

— Wiele z tych maszyn i przyrządów znamy — odrzekł Abdul — lecz nie umiemy ich zastoso-

wać. U nich nawet siły natury służyły im niewolniczo. W nocy oświetlali miasta sztucznemi księżycami o wiele jaśniejszymi od prawdziwego. Zapomocą przedziwnych wynalazków mogli się porozumiewać mimo olbrzymich odległości. Kilka podobnych wynalazków znajduje się obecnie w Muzeum perskiem. Tajemnice te zaginęły w czasie tych długich wieków ciemności, z których się dopiero budzimy.

W tej chwili usłyszeliśmy zdala głos Józefa Hason — znalazł on z towarzyszami strumyk i przywoływali nas.

Takiego upału nie odczuwałem jeszcze nigdy. Koło okrętu, przy rzece, było nieco znośniej lecz i tak pot występował na naszem ciele wielkiemi kroplami. Nasze twarze perliły się, jak u ryb. Chcieliśmy dalej przeprowadzać badania, lecz, że ulice sprawiały wygląd rozpalonych pieców, wróciliśmy na „Żółwia".

Gdyśmy popołudniu, siedząc na pokładzie, spisywali w tym dzienniku odkrycia dokonane rano, nadeszli Józef Hason i Dżefar-el-Beg i prosili by im pozwolono wziąć małą łódkę, by od wiedzić ów olbrzymi posąg.

Wtedy Abdul wyjaśnił, iż posąg ów w starożytności trzymał w górę skierowane ramię z pochodnią, która oświecała całą przystań i prosił Dżefara, by zbadał, jak było sporządzone światło.

Powrócili oni pod wieczór i powiadomili nas, że posąg nie jest cały z bronzu, lecz wewnątrz pusty, i że po żelaznych schodach dotarli do wnętrza posągu, aż do szczytu, z którego spoglądali na okręt, że Dżefar w mroku usiadł w gnieździe much czarnych w żółte paski, które pokąsały go boleśnie, iż z krzykiem uciekł na dół, że Hason z towarzyszami naprostował opadłe ramię, i że miasto leży w dole, ciągnąc się milami po obu stronach rzeki. Co do oświetlenia zatoki Józef Hason twierdzi, iż Abdul się myli, niema bowiem ni śladu czegoś, coby mogło dawać światło.

Abdul twierdzi zaś, że Józef jest głupcem, i że on sam to zbada.

13 maja.

Przerażające zrobiłem dziś odkrycie!

Jadąc wzdłuż rzeki b. daliśmy część miasta, którego budowle nie są podobne do tych, które widzieliśmy wczoraj. Abdul opinjuje, że są to domy bogaczów. Ich kształt jest podobnym do kształtu stojącej cegły, wszystkie są one do siebie podobne, mało interesujące i nudne.

Ujrzeliśmy w jednym z nich, którego okna i drzwi zachowały się jeszcze, a które to ostatnie były zżarte ostrą rdzą. Kilkoma silnemi uderzeniami wśród chmur pyłu wyrwaliśmy zewnętrzne drzwi, a skoro weszliśmy na marmurową podłogę niezwykły przedstawił się nam widok. Meble, posągi, ciemne obrazy w zakurzonych ramach, figurki z bronzu i srebra, portjery, zwierciadła; wszystko to było, lecz w jakim stanie zniszczenia. Odbiliśmy żelazne okiennice i wpuściliśmy światło do pokoju, zamkniętego przez stulecia. W jednym z pokoi leżał perski dywan ze zniszczonymi kolorami, pogryziony przez mole, zdawał się nas prosić um erającemi oczami byśmy go stamtąd wzięli. Widok tego dywanu poruszył me serce, co również ujrzałem w oczach Amara.

Skoro przybyliśmy po schodach na pierwsze piętro, wyraziłem zdziwienie, że drzewo i materja są tak doskonałe, mimo tylu wieków i dodałem:

— Amerykanie nie byli jednak tacy, za jakich uważaliśmy ich.

— Możliwe — rzekł Omar — lecz perski dywan jest najświeższym przedmiotem, jaki widzieliśmy, a i on był już zapewne starym, gdy go kupił.

Na tymże piętrze weszliśmy do ciemnego pokoju, szerokiego i rzegdyś z komfortem umeblowanego. Kiedy Omar otworzył okiennice i podniósł spopiel te prawie story, aż skoczyliśmy ze zdziwienia na widok, jaki nam się przedstawił. Na szerokiem łóżku w środku pokoju leżała ludzka postać, z głową okoloną gęstymi włosami. Była ona podobna do mumji lub szkieletu. Wokół, na łóżku, leżały zetlałe kawałki nakrycia. Na palcach lewej ręki migotały dwa pierścienie, które zwróciły na siebie naszą uwagę. W jednym lśnił djament wysokiej wartości; inny miał szafiry i djamenty przedziwnie zestawione. Przez chwilę staliśmy w milczeniu i ze smutkiem spoglądaliśmy na trupa.

— Biedna kobieta — powiedziałem — zostawiono ją tu samą.

— Jest bardziej możliwem, — odrzekł Abdul — iż była ona już nieżywa, a przyjaciele zmuszeni do nagłego odejścia nie mieli czasu spalić trupa.

— Czy oni palili zmarłych? — zapytałem. — W moim podręczniku historji jest napisane, iż chowali oni trupy w ziemi, pozwalając im tam spróchnieć.

— Tak było swego czasu — rzekł Abdul — lecz potem skoro się ucywilizowali, zarzucili ten zwyczaj.

— Czyż jest to możliwe — spytałem — by ta kobieta leżąc tu przez tysiąc lat mogła się ak dobrze zachować?

— To i dla mnie było niespodzianką - rzekł Abdul — i mogę to sobie jedynie wytłumaczyć suchością powietrza, które pochłania wilgotność z ciała uniemożliwiając spróchnienie.

I biorąc delikatnie w rękę snop jej płowych włosów dodał:

— Niewątpliwie była ona młodą, zaledwie może miała lat dwadzieścia.

— Czy amerykańskie kobiety były piękne? — spytałem.

— Bardzo piękne, o zgrabnych kształtach i uroczych twarzyczkach, aż miło było spojrzeć na nie, pozatem były one dowcipne, wesołe i pełne temperamentu.

Na to wykrzyknął Amar:

— To są pierwsze słowa, przez ciebie wypowiedziane, Abdulu, które powodują we mnie żal za tą zaginioną rasą. W sercu mo'm znajdzie się zawsze miejsce dla pięknej dziewczyny, o pociągającym rumieńcu.

— Wobec tego niechaj twój ból będzie krótkim — odpowiedział Abdul — bowiem amerykańskie dziewi e nie były tego rodzaju. Zarumienianie się było u nich sztuką, którą rzadko użytkowały. Skromność, którą szanujesz w perskich dziewczętach, u nich nie była znaną. Nasze trwożliwe córy wcale nie są podobne do tych na Zachodzie. Te ostatnie bez przeszkody chodziły ulicami, tu i tam rzucając spojrzenia i nie rumieniąc się wcale, swobodnie rozmawiając z mężczyznami i kobietami, śmiałe w mowie, swobodne w ruchach. Wiedziały one o świecie bardzo wiele, kierowały swemi własnemi sprawami i same stanowiły o swem zamążpójściu, a często zmieniając zdania, nierzadko wychodziły zamąż za kogoś innego, a nie narzeczonego.

— Pfuj!! I ci ludzie mogli się w nich kochać? — zawołał Omar dotknięty niesmakiem.

— Tak się zdaje!

— Lecz, wobec tego, młoda małżonka amerykańska miała świeżość zeschłej figi!

— Tak było — przytaknął Abdul. — Ale ten, kto zna tylko owoc suszony, nie odczuwa braku świeżego owocu. Pozatem dziewczęta same nie były tak bardzo winne. Wychowywane były, jak chłopcy, miały te same nauki i ten sam rozwój intelektualny, więc też kobiecość ich znikała powoli, w miarę rozwoju ich mózgów. Siła intelektualna była celem ich wychowania.

Na to Omar wykrzyknął ze wstrętem:

— Chwalmy Allacha, iż pomógł zagładzie tego narodu!! — I odszedłszy od łóżka począł oglądać pokój. Po chwili wrócił mówiąc:

— Jest tu wiele pieniędzy, a także klejnoty!

Abdul chciwie pochwycił monetę:

— Pieniądze! — wykrzyknął. — Pieniądz udzieli nam więcej informacji niż całe strony historji.

Były to srebrne monety różnej wielkości i dwie małe miedziane. Abdul badał je starannie.

— Ostatnia data jest 1957 — rzekł — więc nieco mniej niż 1000 lat, możliwe jednak, że pieniądz ten szedł z rąk do rąk na kilka lat przed śmiercią tej kobiety. Wyryta jest na monecie głowa *Dennisa*, ostatniego z irlandzkich dyktatorów. Według przypuszczeń rasa owa zaginęła przed rokiem 1990 ich epoki.

Wtedy rzekłem:

— Nigdy nie opowiadałeś nam, Abdulu, o powodach ich zagłady.

— Powodów tych — rzekł — było wiele. Sami Amerykanie byli z pochodzenia Anglikami, lecz narody z całej Europy przybyły tu w wielkiej liczbie. Mimo, że pierwsi, którzy przybyli byli silnymi i zahartowanymi; rezultat klimatu dla ich potomków był fatalny. Stali się niskiemi, o zapadłych piersiach i słabem uwłosieniu; mieli łamliwe zęby i słabe członki. Choroby nerwowe, nam nieznane, dziesiątkowały ich. Niepłodność rosła. W latach 1945—1960, kiedy to był ostatni spis ludności, o którym wiemy, ilość mieszkańców spadła z górą o 12 miljonów. Zmiany klimatu, niespotykane w innych krajach, pojawiły się w tym czasie i dokończyły w niecałych 10 latach pracy, już rozpoczętej przez nerwowe choroby i nieumiarkowane życie. Często w jednym dniu po ogromnym upale następowało lodowate zimno.

Mówił jeszcze wiele na ten temat, lecz jestem zbyt znużony, by pisać więcej. Zbadaliśmy cały dom i znaleźliśmy wiele interesujących przedmiotów. Zgodnie z mojem życzeniem przenieśliśmy kilka z nich na „Żółwia" [1]).

14 maja.

Goręcej niż wczoraj! Popołudniu popłynęliśmy kawałek rzeką i zeszli na ziemię, na małą przechadzkę.

Im więcej uczę się o tych Amerykanach, tem mniej stają się interesujący. Abdul sądzi to samo, co wnioskuję z rozmowy, jaką z nim miałem, gdyśmy się przechadzali.

Było to tak:

Kan-Li: Jakie te domy są do siebie podobne; aż do znudzenia!

Abdul: Zupełnie tak, jak i mieszkańcy. Oni podobnie myśleli, podobnie pracowali, jedli, ubierali się i rozmawiali. Oni czytali podobne książki, układali swe suknie według szablonu, bez myśli o formie indywidualnej i dokładnie naśladowali mody Europejczyków.

Kan-li: Jednak wąskie szaty Eurpejczyków z pewnością nie były wygodne w upalne amerykańskie lato!

Abdul: Tak też było! Twarde szkatułki rozmaitych kształtów otaczały głowy mężczyzn. Ciało ściskały wąskie bluzy z rękawami. Nogi pulsowały w przylegających okryciach z twardej skóry, a płótno usztywnione sztucznie otaczało szyję...

Kan Li: Allach! Co za głupcy!

Abdul: Za takich ich też uważano!

Kan-Li: Czy wiesz, dlaczego znosili owe dobrowolne męki?

Abdul: Chcieli się upodobnić do Europejczyków. To było przewodnią myślą tego narodu!

15 maja.

Przyjazny wiatr wieje dziś od zachodu. Podnieśliśmy kotwicę i płyniemy wschodnim kierunku miasta. Uczyniłem to, bowiem Abdul uważa górną część miasta, za bardziej bogatą w osobliwości niż niższą, która zdaje się była oddana sprawom handlowym. Przepłynęliśmy blisko jednego z wielkich pomników w rzece, którego znaczenia nie mogliśmy sobie wyjaśnić. Wiele żelaznych belek zwisa jeszcze u szczytu każdej budowli. Ponieważ stoją one, według linji, jedne za drugą sądziliśmy z daleka, iż były one niegdyś powiązane i służyły jako most, lecz wkrótce przekonaliśmy się, że stoją one daleko jedna od drugiej.

Zarzuciliśmy kotwicę w odległości około 3mil od poprzedniego miejsca jej zarzucenia. W górze i w dole rzeki, na południe, północ, wschód i zachód rozciągają się ruiny, jakby bez końca.

Jestem niespokojny o Omara, zeszedł na ziemię i jeszcze nie powrócił. Jest już po północy.

16 maja.

Dzięki Allachowi! mój towarzysz żyje! Dziś o świcie zaraz — wylądowaliśmy i poczęliśmy go szukać.

Skoro mijaliśmy budowlę, która nosi napis: „Dort Astorja" usłyszeliśmy jego głos z wewnątrz odpowiadający na nasze nawoływanie. Weszliśmy, a przebiegłszy rozpadające się schody, znaleźliśmy go siedzącego na podłodze. Miał on opuchnięty goleń i inne kontuzje. W czasie, gdy towarzysze budowali lektykę, by go wynieść rozmawialiśmy. Pokój, w którym znajdowaliśmy się był niegdyś pięknym. Gdy obchodząc wokół pokój otworzyłem drzwi do małej komórki, znalazłem na butwiejących deskach szklane wyroby i garnuszki kunsztownej roboty. Biorąc jeden z nich, małą szklankę do wina, zbliżyłem się do Omara pokazując mu jej dziwaczny kształt.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Przedmioty znajdują się obecnie w muzeum „Cesarskiego Kollegjum" w Teheranie.



Zapasy złota przed wojną i po wojnie.

Radjotelefonja na Zachodzie i u nas.

Jak to ślicznie jest na szerokim świecie! Cała zachodnia Europa odetchnęła po zmaganiach wojennych, zmora przymusu, rządów soldateski i tyrańskich, idjotycznych rozporządzeń znikła i teraz kulturalne społeczeństwa oddychają pełną piersią, bo nic nie tamuje postępu, bo państwo stara się zrobić wszystko, co w jego mocy leży, by poddanym życie ułatwić i uprzyjemnić.



W amerykańskim hotelu: O rozmiarach olbrzymich hotelów amerykańskich daje pojęcie szafka z kluczami do 12.000 pokojów, nad którymi czuwa specjalny urzędnik hotelowy.

U nas wszystko dzieje się całkiem naopak. Można by przytoczyć tysiące przykładów; na razie jednak wystarczy w zupełności poruszyć rozporządzenia, zmierzające do zupełnego odseparowania Polski od reszty świata. Mamy na myśli aż nadto znaną ustawę paszportową, która pozwala wyjeżdżać zagranicę tylko krezusom, a drugą nie mniej szkodliwą w sprawie radjotelefonji w Polsce.

Otóż do dziś dnia społeczeństwo nie wie, czy wolno urządzać stacje odbiorcze, czy też nie, bo słyszeliśmy o grzywnach nakładanych na amatorów, ktorzy wspomniane stacje zakładali.

O ile pierwsze można jeszcze od biedy umotywować równowagą bilansu handlowego, o tyle drugie nie może mieć najmniejszych podstaw, gdyż motywowanie tego szerzeniem się szpiegostwa na rzecz mocarstw ościennych upada, gdyż mowa jest o stacjach *odbiorczych*, nie zaś nadawczych. Tych ostatnich na terenie państwa może być niewiele, mogą one pozostawać pod kontrolą odnośnych władz i służyć wyłącznie do breadcastingu i przesyłania komunikatów meteorologicznych. Komunikaty takie dają możność zupełnie ścisłego przewidywania pogody na 24 godziny naprzód, co przedstawia niebywałą korzyść w kraju rolniczym, jakim jest Polska.

W kulturalnych państwach niema prawie domu, któryby nie posiadał aparatu odbiorczego. Wynalazek ten zdobył sobie świat w ciągu jednego roku. Tylko nasi biurokraci zmuszają Polskę do pozostania w tyle za Europą. Kto wie, czy nie jest to właśnie wodą na młyn dla elementów wywrotowych, które się zwalcza w tak głupi sposób.

Zapasy złota przed i po wojnie.

Jak wiadomo, wojna europejska zmieniła w zupełności równowagę finansową świata. Kraje bogate, miodem i mlekiem płynące wydane zostały na pastwę głodu, bezrobocia i stagnacji przemysłowej; z drugiej strony zaś państwa dawniej ubogie, lub średnio zamożne zwiększyły pokaźnie swój dobrobyt.

Illustracja nasza w sposób humorystyczny przedstawia zapasy złota, jakiemi rozporządza obecnie 5 największych mocarstw w stosunku do ilości złota, posiadanej przed wojną.

Na pierwszem miejscu widzimy Krezusa — *Amerykę*, u której wskutek wojny przybyło tego cennego kruszcu prawie w dwójnasób. *Anglja* melancholijnie patrzy na swój mieszek, trochę mniej pełny, niż za dobrych czasów. *Francja*, niepokalana elegantka poniosła również wielkie straty. Butne i zasobne ongiś *Niemcy* dziś muszą mocno ściągać pasa.

Najtragiczniej sprawa finansowa przedstawia się w Rosji, gdzie obecny zapas złota można dojrzeć tylko przez mikroskop.

HENRYK GRALSKI

Aforyzmy i paradoksy.

Pomiędzy pocieszną zagadką a smutnym zagadnieniem życia leży dojrzałość umysłu.

* * *

Wymowna miłość mało mowi.

* * *

Bujdy na resorach — to początek każego... automobilu.

* * *

Od wyroku wyższej moralności apeluje kobieta legalnie do niższego sądu... mody.

* * *

Robociarzy gazeciarskich płaci się na akord: od „kawału".

* * *

Nowe przysłowie chłopskie: głupi jak... letnik

* * *

Głosem wołającego na pustyni to przeważnie głos... sumienia.

* * *

Wdzięczność to mało intratny „interes ratalny"..

* * *

Panna bez narzeczonego jest jak telefon bez drutu, wszędzie ją... słychać.

* * *



Praktyczny wynalazek: Znany sportowiec p. Helfrich z Jeny, chcąc ulatwić sobie zabieranie różnych rzeczy w dalszą podróż, przyśrubował do swej laski kółko, które mu pozwala bez najmniejszego zmęczenia zabierać z sobą bagaż do 30 kg.

Mówią o wypełnieniu swych świętych obowiązków a myślą właściwie o „wypełnieniu" swej najświętszej kieszeni.

* * *

Obyczaje można oczyścić, ręką... wychowania, zaś tylko życie „froteruje" charakter nogami.





Rozpowszechnienie radjotelefonu za granicą: Breadcasting za granicą stał się tak popularny, że bez niego nie można sobie już wogóle wyobrazić życia. Nawet w kąpieli i na łodzi muszą mieć zwolennicy radjotelefonji swą ulubioną rozrywkę. A u nas?

Operetka krakowska.

Ostatni sezon Operetki krakowskiej dowiódł nam, że nawet przy najcięższych warunkach wysiłek zbiorowy wydać może bardzo piękne owoce. Oto gmina Krakowa powiedziała „pas“, niemogąc już podołać ciężarom, łożonym wciąż na miejski teatr „Opera i Operetka“. Widownia stale świeciła pustkami, programy grano dość słabe, a nadewszystko odstręczała publiczność fatalna konstrukcja gmachu, zimno i brak wszelkich akcesorji, których wymaga nowoczesny teatr

Wtedy wystąpił na widownię „Zespół operetkowy“ z p. Sempolińskim na czele i postarał się rozgryźć ten twardy orzech. Początkowo publiczność odnosiła się nieufnie do tej imprezy, lecz po paru miesiącach ciężkiej, wytężającej pracy sympatyczne grono zdołało sobie podbić serca całego Krakowa.

Nie mało przyczyniła się do tego energja zespołu, ale przedewszystkiem zasługa spada na dyrektora „Operetki“, p. Sempolińskiego.

Jak ten człowiek to robił?

Bo przecież zatrzymał w swych rękach dyrekturę i wywiązał się z tego świetnie, a przytem stał się aktorem na scenie do tego stopnia niezbędnym, że wogóle nie można sobie było wyobrazić niektórych ról bez jego udziału. I publiczność chodziła nie na operetkę, ale na niebywałą, fascynującą grę dyrektora. Łączy on w sobie wszystkie cechy świetnego artysty operetkowego: wyrazistą mimikę, indywidualność i taniec, ten fenomenalny taniec, który mu zjednał nazwę „gumowego człowieka“.

Ale jeszcze nie koniec! Dyrektor stanowczo musiał się w czepku urodzić, bo nieba zesłały mu partnerkę, jakiej z pewnością nie znalazłby ktoś mniej szczęśliwy. Mowa oczywiście o pani Kozłowskiej, tej ślicznej, naiwnej „Dzidzi“, trochę rozgrymaszonej, czarującej ruchami podlotka i kapryśnym głosikiem milutkiej „enfant terrible“.

W następnym sezonie bierze na swe barki operetkę p. Pilarski. Ogólnie znane są jego zdolności organizacyjne, a przytem ma on wyrestaurować i ulepszyć gmach Operetki.

Ale Kraków myśli tylko o jednem, a mianowicie, czy w nowym sezonie weźmie udział Sempoliński z Kozłowską, bo gdyby nie — to, doprawdy, strata byłaby niepowetowana. Miasto z niecierpliwością czeka na odpowiedź!



Zespół operetkowy: Grupa artystów Operetki krakowskiej. Pośrodku p. Sempoliński z p. Kozłowską.

Wiktor Bojnarowski.

Z pośród szeregu ról charakterystycznych na deskach tegorocznej „Operetki“ krakowskiej, wybija się na czoło niestrudzony i zasłużony bardzo artysta operetkowy, Wiktor Bojnarowski. Pracuje on na scenach polskich od 1901 r. Karjerę sceniczną zaczął on w Teatrze miejskim i ludowym we



Sekretarz Operetki krakowskiej: p Bojnarowski.

Lwowie, potem zaangażowany przez dyr. Solskiego, spędził 7 lat w teatrze Słowackiego, poczem aż do chwili wstąpienia do teatru „powszechnego“ na Rajskiej, pracuje na deskach operetki „Nowości“. Stali bywalcy teatru „powszechnego“ mieli sposobność poznać cały szereg postaci odtworzonych przez niego, począwszy od „Gomułki“ w „Królowej przedmieścia“, a skończywszy na konduktorze wagonów sypialnych w „Dzidzi“.

Niezależnie od intenzywnej pracy scenicznej, powierzono mu odpowiedzialne stanowisko sekretarza „Operetki“, gdzie umiał sobie zjednać ogólną sympatję dyrekcji, kolegów i publiczności.

Nowoczesny sezam.

W zagranicznych pismach czytywaliśmy nieraz opisy zagranicznych skarbców, jakie pobudowały tamtejsze banki dla zabezpieczenia depozytów, powierzonych im przez klijentów.

Sprytowi i pomysłom genialnych włamywaczy przeciwstawiła nowoczesna technika środki ochronne, niweczące najbardziej wyszukane wynalazki rabusiów. Słyszeliśmy cuda o stalowych pancerzach, dzwonkach alarmowych i groźnych elektrycznych przewodach, niespodzianie rażących intruza i nieraz marzyliśmy o tem, by zwiedzić te nowoczesne sezamy.

I sposobność do tego dziś się nam nadarzyła. Nie w podziemiach Nowojorskiego Broadvay'u, ni w londyńskiem City, ale w naszym starym Krakowie, który idąc w ogonie nowoczesnych zdobyczy techniki, przecież jednak nie mał na czoło wysunąć się niekiedy potrafi.

W gmachu Pocztowej Kasy Oszczędności przy ul. Wielopole otwarto niedawno nowocześnie urządzony skarbiec, zawierający 840 skrzynek depozytowych. Po obu bokach śmiało architektonicznie rozwiązanego przedsionka w podziemiach gmachu, mieszczą się wygodne, portjerami osłonięte kabiny, w których klienci sprawdzać mogą zawartość swych kasetek. Jedyne wyjście chroni podwójna krata i potężna brama pancerna, wagi 4·50 cetnarów. Obrót kołem.



Nowy sport piłkarski w Ameryce: Zabawa w Baseballs, czyli toczenie olbrzymiej piłki na większych przestrzeniach. Młode sportsmenki stolicy Ameryki wyruszają z New Yorku ze swą piłką, którą dla wygrania zakładu muszą zatoczyć aż do miasta Albani.



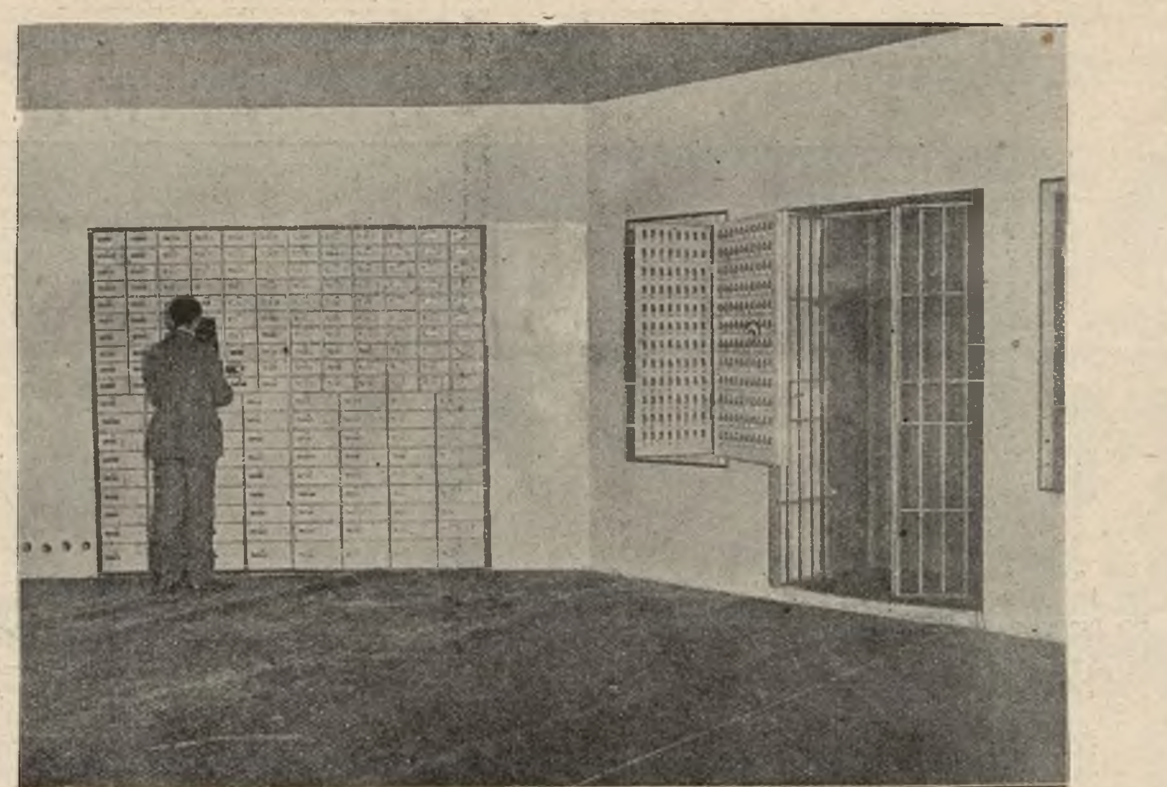
Pierwsze skrzynki poczty lotniczej w Niemczech: W Monachjum i w Norymberdze umieszczone zostały na ulicach pierwsze w Europie skrzynki poczty lotniczej.

Sezam'e otwórz się! Wcho łzimy. Jesteśmy wewnątrz obszernej, stalowej skrzyni o ścianach pocietych rozmaitej wielkości drzwiczkami; jest ich dziewięć rodzai. Elektryczne wentylatory doprowadzają do wnętrza oczyszczone i osuszone powietrze po przepuszczeniu go przez 6 warstw witryolu.

Skarbiec P. K. O. jest systemu bębnowego o potężnej konstrukcji żelazo betonowej, umocnionej dwoma płytami stalowemi i specjalnie preparowanym cementem. Bemben safes'owy wsparty jest na kolumnach i otoczony korytarzem o przedziwnej akustyce, dzięki której najlżejszy szelest wydaje się potężnym łomotem i nie mógł by ujść uwagi strażnika!

Tak urządzone safes'y oddało niedawno P. K. O. do użytku klientów. Mimo szalonych kosztów, jakie pochłonąć musiało wybudowanie skarbca, ceny wynajmu schowków są niespodziewanie niskie. Półroczna opłata za wynajem najmniejszej skrytki wynosi 3 zł. Wielka kaseta o objętości blisko 200.000 cm³ kosztuje zaledwie 80 zł.

Oddanie kosztowności na przechowanie do tego skarbca znakomicie rozwiązuje kwestję zabezpieczenia ich na czas wyjazdu na letniska.

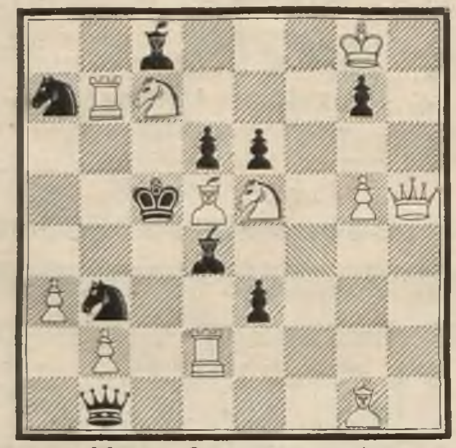


Mowoczesny sezam: Komnata skrytek (safes) w nowozbudowanym gmachu P. K. O.

Dział szachowy

(pod red. Tad. Konczyńskiego jun.)

J. Klewicz, Kraków



Mat w 3 posunięciach.

Ryga 1923. („Nedeła").

Gambit damy.

s.	Apscheneeks,
1) $d_2 - d_4$	$d_7 - d_5$
2) $c_2 - c_4$	$Sb_8 - c_6$
3) $Sb_1 - c_3$	$Sg_8 - f_6$
4) $Sg_1 - f_3$	$Gc_8 - f_5$
5) $Gc_1 - g_5$	$e_7 - e_6$
6) $e_2 - e_3$	Ge_7
7) $Wa_1 - c_1$	$Gf_6 - e_4$
8) $S \times e_4$	$d \times e_4$
9) $G \times e_7$	$D \times e_7$
10) $Sf_3 - d_2$	0 – 0 – 0
11) $a_2 - a_3$	$S \times d_4$

Niespodziewana ryzykowna ofiara.

12) $e \times d_4$	$W \times d_4$
13) $Dd_1 \quad a_4$	$Wh_8 - d_8$
14) $D \times a_7$	$Wd_4 \times d_2$
15) $Da_8 +$	Kd_7
16) $Da_4 +$	

Białe chcą utrzymać remis

	$b_7 - b_5$!!
17) $c \times b_5$	Dd_6!
18) $b_5 - b_6 +$	$Kd - e_7$
19) $b_6 \times c_7$	

jeżeli $Wc \times c_7 +$ to $Ke_7 - f_6$ i czarne wygrywają.

	$Wd_8 - e_2 +$
20) $Gf_1 \times e_2$	$Dd_7 - d_2 +$
21) $Ke_1 - f_1$	$Dd_2 \times c_1 +$

Poddały się.

A. Hortmans – Bergs

Ryga 1924.

Partja francuska.

1) $e_2 - e_4$	$e_7 - e_6$
2) $d_2 \quad d_4$	$d_7 - d_5$
3) $Sb_1 - c_3$	$Sg_8 \quad f_6$
4) $Gc_1 - g_5$	$Gf_8 - b_4$
5) $e_4 - e_5$	$h_7 - h_6$
6) $Gg_5 - d_2$	$Sf_6 - d_7$
7) $a_2 - a_3$	$Gb_4 - e_7$
8) $Dd_1 - g_4$	$Ke_8 - f_8$
9) $f_2 - f_4$	$c_7 - c_5$
10) $Sg_1 - f_3$	$c_5 \times d_4$
11) $Sf_3 \times d_4$	$Dd_8 - b_6$
12) $Sd_4 - \ _3$	$Sb_8 - c_6$
13) $Dg_4 - f_3$	$a_7 - a_6$
14) $Gd_2 - e_3$	$d_5 - d_4$?
15) $Ge_3 - f_2$	$Ge_7 - c_5$
16) $Sc_3 - a_4$	$Db_6 - a_7$
17) $Sa_4 \times c_5$	$Sd_7 \times c_5$
18) $Sb_3 \times d_4$	$Sc_6 \times d_4$
19) $Gf_2 \times d_4$	$b_7 - b_6$
20) $Df_3 - c_6$	$Gc_8 - d_7$
21) $Dc_6 - d_6 +$	$Kf_8 - g_8$
22) $b_2 - b_4$	$Sc_5 - a_4$
23) $Gf_1 - c_4$	$Da_7 - b_7$
24) 0 — 0	$Gd_7 - c_6$
25) $f_4 - f_5$!	$Kg_8 - h_7$
26) $f_5 \times f_6$	$Wh_8 - d_8$
27) $Wf_1 \times f_7$	$Wd_8 \times d_6$
28) $e_5 \times d_6$	poddały się.

HENRYK GRALSKI.

Dział Grafologiczny

(Tylko ostatni bon ważny).

pod kierunkiem Instytutu pismoznawstwa i psychologii stosowanej, prof. Gralskiego, Kraków, ul. Batorego 25.



154) **Kazimierz P.** jest naturą zrównoważoną ale i trochę zmanierowaną. Umysł wielostronnie uzdolniony ale jednostronnie wyrobiony, uczucie więcej piękne niż dobre ale wola silna i wytrwała.

155) **Kazimierz** jest typem niezrównoważonego i problematycznego charakteru. Umysł nielogiczny i nieścisły, uczucie nawskróś nerwowe, niehamowane, pełne instyktowych porywów bez wszelkiego oparcia światopoglądowego a szkoda! bo jest to umysł i uczucie wyraźnie twórcze i inteligentne.

156) **Eugenja** jest osoba naiwną, o miękich rysach serca, o szerokim zakroju dążności, trochę wprawdzie histeryczny ale przecież hamowany charakter, który, wobec istotnego optymizmu, pozwala wnioskować o dodatnim dalszym rozwoju.

157) **Mieczysław** jest przedewszystkiem umysłem nienormalnym. Dziwaczność czyni jego postępowanie często niebezpiecznem dla niego samego, wpływa niedodatnio na istotną miękość uczucia, które staje się przesadne i fantastyczne, a wola niewytrwałą i lekceważącą.

158) **Marja Luiza** jest człowiekiem drobiazgowym, pedantycznym, skrytym i niezbyt szczerym ale i pracowitym i energicznym. Uczucie jest namiętne ale szorstkie.

159) **Ada** posiada piękny ale szablonowy charakter, boi się wszelkich indywidualnych cech i pozbywa się ich. Typowem jest w tym charakterze silny początkowy nacisk a brak energji końcowej, co się w tym „Imieniu" wyraźnie symbolizuje.

160) **Ludwik** jest praktycznym, namiętnym, wielostronnym, trochę egoistycznym, zawziętym, przekornym i wytrwałym charakterem.

161) **Aleksandra** jest osobą chorowitą, dziwaczną a przecież wybitnie indywidualną o znacznych zdolnościach plastycznych ale nawskróś uczuciowa a obecnie pod wpływem jakiejś niebezpiecznej myśli prześladowczej.

162) **Michał** jest człowiekiem o normalnych rysach psychofizycznych Umysł to wartościowy, niezbyt twórczy ale logiczny i kształcony. Uczucie pięknie orjentowane, znaczne zdolności towarzyskie, a kierunek woli jest jednolity i wytrwały. Więc rzadki przykład sharmonizowanego człowieka.

163) **Halina Sz.** wykazuje w podpisie dziwne rysy charakteru i ustroju fizycznego. Umysł wybitnie naukowo uzdolniony, znaczna intuicja artystyczna i silna wola, ale wszystko ideologicznie wypaczone i uparte

164) **Ksawery** jest człowiekiem o znacznem doświadczeniu życiowem, ale o za słabem wyrobieniu naukowem, ze silną skłonnością do wybryków histerycznych i do nieuzasadnionych szerokich giestów, które go czynią dziecinnym i śmiesznym. Jest w nim jednak dużo żywiołowości i wytrwałości.

165) **Jadwiga** jest niewiastą logicznie myślącą, praktyczną i o szerokim zakroju światopoglądowym ale uczuciowo szorstką, nerwową, wymagającą, a przecież niedostatecznie energiczną, a wskutek tego więcej upartą niż silną. Inteligencja w niej jest najsilniejsza.

166) **Józef** wykazuje niebezpieczne cechy pretensjonalności, krętactwa uczuciowego i s lne braki świadomej dążności. Nacisk pióra na przeciwnym niż normalnym miejscu charakteryzuje jego wolę. Trzebaby jednak grafometrycznie to ciekawe pismo zbadać.

Właściciel i wydawca: Czesław Lipiński. Odpowiedzialny redaktor Dr. Lipiński. Drukarnia i kliszarnia „Nowości Illustrowane" pod zarządem L. Gronusia (firma Friedlein